ROK I. Nr. 23. 30 czerwca 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Ostatnio nawiedziła Amerykę nienotowana dotychczas fala upałów, które dochodzą obecnie do wysokości 40° Celcjusza Nic też dziwnego, że ulubienica publiczności Dolores Del Rio przywdziała możliwie przewiewny strój. (Fot. Fox)

U wrót nowego życia

Ilekroć nadchodzi okres egzaminów maturalnych i spotykam rzesze młodych ludzi, śpieszących złożyć dowód swej „dojrzałości" — zadaję sobie pytanie: czem będą ci młodzieńcy, gdzie spotkam się z nimi na szerokiej drodze życia? I mimowoli, patrząc na nich i łowiąc w przelocie fragmenty ich rozmów — zastanawiam się nad tą ogromną zmianą, która zaszła w kształtowaniu się umysłowości.

Wszystko się zmieniło... Dawniej — a było to tak niedawno — kiedy otwierały się przed nami niezbadane horyzonty i ambicją wszystkich było udowodnienie całemu światu praw historycznych do lepszej przyszłości — młodzieńcy musieli gromadzić jaknajwięcej zapasów ideału, które pozwoliłyby im wytrwać, a w razie potrzeby usprawiedliwić torowanie drogi przebojem ku świetlanemu jutru.

Dziś jest inaczej... Oto się stało, o czem snuto tęskne dumy, oto na gruzach wulkanu europejskiego, odbudowano Ojczyznę, oto przyszedł dzień, w którym sucha analiza zagadnień życiowych stawia coraz to nowe potrzeby. Inaczej jest... Budujemy. Budujemy w znoju codziennej pracy i coraz to więcej potrzeba nam rąk i umysłów, coraz więcej praktyków.

I z coraz większem napięciem oczekujemy wyników twórczej pracy, około wznoszenia trwałego Gmachu państwowości i pokrzepiania sił znużonego społeczeństwa.

Czem będziesz, młodzieńcze, synu Ojczyzny, która ma prawo rozporządzać wszystkiemi twemi siłami, podobnie jak żądała ofiary „pro publico bono" od twych poprzedników?...

Podwoje własnej wyższej uczelni stają przed tobą otworem. Oto dowiadujesz się, że krzepnące siły państwowo-twórcze wołają o kwalifikowanego rekruta, że nadszedł czas na ciebie, byś stanął w szeregach pod sztandarem obywatelskiej służby budowania Polski.

Nie posiadamy niestety ścisłych danych o potrzebach państwa. Pobieżne zestawienie wykazuje iż, należałoby dostarczyć ludzi o wykształceniu specjalnem w następującej ilości:

1)	urzędników państwowych, samorządowych i oficerów	30.000
2)	sił technicznych	20.000
3)	nauczycieli	20.000
4)	lekarzy, weterynarzy i farmaceutów	15.000
5)	ludzi różnych zawodów	35.000
	Ogółem	120.000

Że liczby te nie są zbyt wysokie, wynika z faktu, że w mniejszej od nas Czechosłowacji praktykuje ponad 10.000 lekarzy i że w Polsce ilość nauczycieli przekracza już 15.000.

Nie dowodzi to jednak, by młodzież naoślep kierowała się ku drogom dającym tytuł naukowy. Okres odbudowy Ojczyzny jest zbyt ciężki, by wszyscy obywatele mogli liczyć na zabezpieczenie warunków materjalnych podczas trwania wyjątkowo przewlekłych studjów. Stwierdzono to niejednokrotnie na zjazdach specjalistów na których zastanawiano się nad celową reformą szkolnictwa i składano memorjały w sprawie udzielania młodzieży akademickiej zwrotnych zapomóg. Dotychczas atoli nie rozstrzygnięto palącego tego zagadnienia. Kryzys ten bowiem wynika z zupełnie odmiennych przyczyn, niźli sobie wyobraża nawet aeropag uczonych.

Utylitaryzm, wyjałowienie ducha kosztem zasilania materji, są zjawiskiem całkiem naturalnem, które musiało powstać po wyczerpaniu w okresie zmagań wojennych. Wyścig pracy, którego najskuteczniejsze wyniki widzimy w odmłodzonej Italji, będącej dotychczas tylko kolebką czystej kultury, natchnął wszystkie narody. Wyścig, szalony, w którym najsłabszy nawet usiłuje prześcignąć przeciwnika. Naukowa organizacja. Standaryzacja, — wszystko, byleby ciągle dalej, taniej i jaknajwięcej.

Nic też dziwnego, że młodzieniec będący przedstawicielem nowych prądów zmierzać będzie ku temu celowi najszybciej osiągalnego wyniku. Swojego rodzaju oportunizm. Nastrój to jednak niezbędny w okresie intensywnej pracy budowania. Niechaj wybitne siły poświęcą się nauce i poszukiwaniu nowych metod, a ty młodzieńcze, mając do wyboru ideał posiadania wiedzy i jednocześnie nadmierne potrzeby — zrzuć z siebie fałszywy wstyd, weź kielnię do ręki i idź budować własne szczęście i Polski, bez wygórowanych ambicyj, bez pragnienia tytułów, byleby trwale i usilnie.

Utylitaryzm ten jest w danej chwili najzupełniej szczytny, gdyż najwięcej może przynieść pożytku państwowości. Nastrój twój, młodzieńcze, zadecyduje o założeniu szeregu uczelni kształcących zawodowo. Wiedza praktyczna, którą nabędziesz w najbliższym czasie wprowadzi cię w życie w pełni sił, które wykorzystasz daleko lepiej, niźli twoi poprzednicy, co przez tyle lat znosili poświęcenia dla uzyskania tytułu naukowego, a w życie wchodzili — zgorzkniali i zbiedzeni. Pozostaw ten zaszczyt tym, co pragną oddać się pracy naukowej i od których uczelnia będzie wymagać nie tylko pracy, ale i pewnej dozy talentu.

Amerykanizacja ta nie jest do pogardzenia. Wprost przeciwnie. Jest ona niezbędną w okresie, gdy na całym świecie technika przeważa nad kulturą. Prawda, że tendencja ta prowadzi do wyjaławiania dusz, do mechanizowania umysłów, które szukać będą z utęsknieniem ideału. Pocieszmy się jednak, że równolegle z tym procesem, rozwijać się będzie inny — naginania się kultury do wymogów życia współczesnego.

A wówczas zapanuje idealna harmonja, z której i my jeszcze zdołamy czerpać prawdziwą radość życia...

Er.



Pani konsulowa Hubicka dokonała na lotnisku w Medjolanie chrztu samolotu „Polonja". Na fot. widzimy ks. prymasa Hlonda, prezesa komitetu amerykańskiego p. Adamkiewicza, pilota Wł. Klisza, oraz nawigatora kpt. A. Kowalczyka. (fot. Sterza, Milano).



Bohaterscy lotnicy francuscy, którzy dokonali na samolocie „Żółty Ptak" lotu z Ameryki do Europy. Na fotografji naszej dokonanej po ich powrocie do Paryża siedzą od str. lewej: Schrejber („pasażer na gapę"), Assolant, jego ojciec, Lefevre, Lotti i jego ojciec. (Wide World Photos).

Na podbój Atlantyku



Kpt. Kowalczyk i pilot Klisz w otoczeniu monterów u stóp „Polonji" na lotnisku w Medjolanie.

W chwili, gdy piszę te słowa, toczą się już końcowe przygotowania do gigantycznego polskiego lotu. Pilot Włodzimierz Klisz z nawigatorem kpt. Adamem Kowalczykiem ma wystartować z lotniska Baldonnel w Irlandji, by bez lądowania przebyć ocean Antlantycki i połowę kontynentu amerykańskiego, aż do Chicago.

Jeżeli lot ten się uda, zostanie wrzeszcie rozwiązana druga połowa problematu, w pierwszej części rozstrzygnięta przez Lindbergha. Nie ujmując nic bohaterstwu młodocianego pułkownika, stwierdzić należy, iż pierwsza połowa była znacznie od drugiej łatwiejsza. Wystarczy bowiem zaznaczyć, że w północnej części oceanu silny stały wiatr ułatwia lot w kierunku wschodnim i zmniejsza o 50 mniej więcej kilometrów na godzinę szybkość samolotu, szybującego z Europy ku wybrzeżom amerykańskim.

Daleko korzystniejszy ze względu na warunki atmosferyczne jest lot drogą południową — przez wyspy Azorskie. Tutaj, przy sprzyjających okolicznościach, można trafić na okres wiatrów korzystnych, ułatwiających pilotowi prowadzenie maszyny i oszczędzanie paliwa, którego nigdy nie jest zawiele, skoro się leci nad oceanem. Jeszcze jeden przywilej ma droga południowa — samolot znajduje się tutaj na drodze uczęszczanej przez okręty i wrazie katastrofy ma szanse na pomoc w przeciągu kilku godzin. Na szlaku północnym, omijanym przez okręty ze względu na niekorzystne wiatry i silne mgły, płatowiec transatlantycki jest całkowicie zależny od stopnia przygotowanej maszyny i zdolności lotników.

Maszyna ochrzczona imieniem „Polonia" z pośród bardzo licznych typów płatowców ma najwięcej szans powodzenia. Jest to dwupłatowiec typu Caproni 75, zaopatrzony w cztery silniki Isotta Fraschini po 250 koni każdy. Układ i wydajność tych silników pozwala na kontynuowanie lotu w razie defektu jednego, a nawet dwuch silników. W stosunku do płatowców jednomotorowych „Polonia" ma już przez to szanse powodzenia najmniej podwojone. Podwójne przewody, doprowadzające benzynę do zbiorników, podwójne pompy motorowe, tłoczące benzynę, podwójne linki, prowadzące do sterów, — wszystko to powinnoby stanowić gwarancję niezawodności w działaniu doskonałego włoskiego płatowca.

Próby dokonane z tym płatowcem wykazały jego zalety, przekraczające znacznie wyniki, przewidziane w obliczeniach teoretycznych. Podczas pobytu w Medjolanie brałem udział w jednym z próbnych lotów. Samolot, obciążony 3.000 kilogramów benzyny wystartował z miękiego lotniska w przeciągu 22 sekund i wykazał niezwykłą łatwość wznoszenia się. W przeciągu jednej godziny i siedmiu minut przy normalnej pracy motorów znajdował się na poziomie 3.300 metrów.

Z tej próby wynikałoby jasno, że nawet z pełnem obciążeniem (przypuszczalnie około 5.000 kg.) samolot mógłby wystartować z miękiego lotniska. Jednakże w Baldonnel, skąd ma się rozpocząć właściwy lot transatlantycki, lotnicy polscy mają do dyspozycji doskonały tor betonowy, ułatwiający ogromnie start. Niezależnie od tego „Polonia" będzie rozporządzała kółkami pod ogonem, co ułatwi rozwiązanie trudnego problematu startu z olbrzymiem obciążeniem.

Orjentacja w locie oceanicznym jest rzeczą niesłychanie trudną. Pilot lecący nad ziemią może z łatwością zorjentować się, w którym kierunku i w jakim stopniu znosi go wiatr z linji lotu. Na oceanie pilot nie ma żadnych punktów orjentacyjnych. Zważyć przytem należy, że Lindbergh miał zadanie o tyle ułatwione, że wiatr tylny znosi maszynę z linji lotu trzykrotnie mniej, niż wiatr czołowy.



Pilot Klisz.

Jedynie obserwacje astronomiczne umożliwiają orjentację w locie transoceanicznym. Nawigator od czasu do czasu przy pomocy pomiarów astronomicznych ustala położenie geograficzne i na mocy tych wskazówek pilot ustala na busoli kierunek. „Polonia" posiada trzy busole. Dwie zwykłe i t. zw. kompas pioner, jakim posługiwał się Lindbergh przy swoim przelocie. Jest to precyzyjna busola, uniezależniona od wpływów magnetycznych instalacji elektrycznych przy silnikach. W tym celu aparatura pionera jest umieszczona przy samym ogonie (najdalej od silników), zaś pilot ma jedynie tarczę ze wskazówką przed sobą.

Jednakże najbardziej precyzyjny kompas może okazać się bezużyteczny, skoro samolot okaża się w sferze działania pól magnetycznych, znajdujących się nad północną częścią Atlantyku. Wskazówka wówczas daje odchylenia od właściwego kierunku, sięgające kilkunastu a nawet kilkudziesięciu stopni.

Drugiem ważnem zagadnieniem jest odpowiednie przygotowanie załogi. Wytrzymać przez czterdzieści godzin przy kierownicy, w ciągłem przeświadczeniu, że tam na dole czeka w razie chwilowej nieuwagi lub czynników zupełnie niezależnych śmierć nieunikniona, — jest to wysiłek zaiste nadludzki, którego mogą podejmować się jedynie ludzie o stalowych nerwach i mięśniach.

Pilot Włodzimierz Klisz lata już od roku 1916, początkowo w wojsku austrjackiem i polskiem, później zaś w komunikacji cywilnej. Blisko trzysta tysięcy kilometrów, wylatanych na polskich linjach w warunkach nieraz bardzo ciężkich, dały Kliszowi rutynę, niezbędną do tak dalekiego lotu. Półroczny pobyt w Medjolanie poświęcił Klisz nietylko na obserwacji budowy samolotu, lecz i lataniu na podobnego typu maszynach. Zgórą 200 lotów w tym okresie wykonał on zupełnie pomyślnie bez najmniejszego defektu, jednając sobie całkowite uznanie ze strony lotników włoskich.

Kapitan Adam Kowalczyk, mający w locie pełnić funkcje nawigatora, ukończył w tym celu szkołę nawigacyjną w Rzymie.

Przelot z miejsca budowy płatowca — Medjolanu do miejsca startu — Baldonell na przestrzeni około 1.500 kilometrów będzie doskonałym sprawdzianem celowości budowy płatowca.

Polscy lotnicy przybędą do Irlandji w początku m. lipca.

Termin startu do lotu transatlantyckiego nie jest jeszcze ostatecznie ustalony, — zależny on będzie całkowicie od brzmienia meldunków meteorologicznych, które wskażą najbardziej odpowiednią chwilę do rozpoczęcia lotu, na wynik którego z zapartym oddechem wyczekiwać będą oba kontynenty.

I. Kołłupajło.

Postęp i wygoda



Chemikowi Louis Nolet, udało się wynaleźć sposób tworzenia drogą chemiczną kamieni drogocennych. (Wide World).



Dyrektorowi szkoły fotograficznej, uniwersytetu w Yale przedłożył student Luther G. Simjan swój wynalazek aparatu fotograficznego, którym może sam siebie fotografować. Aparat ten robi zdjęcia w każdem dowolnem położeniu. (Atlantic).



Peryskop, przyrząd optyczny, umożliwiający obserwowanie powierzchni morza przez zanurzoną w wodzie łódź podwodną doczekał się nowego zastosowania na lądzie. Mianowicie umieszczony nazewnątrz zamkniętego skarbca bankowego, pozwala na zbadanie przez specjalnych strażników, czy jacyś nieproszeni goście nie złożyli wizyty skarbcowi. (Atlantic).

BRUNO WINAWER.

A jednak się porusza...

Widziałem niedawno (na obrazku, w piśmie ilustrowanem) księcia Walji, owego znakomitego księcia Walji, późniejszego Edwarda VII. Głośny arbiter elegantiarum ma na sobie kusą, obficie lamowaną, czarną marynarkę, spodenki pepita (kloszowe), na dziwacznym kołnierzyku zawiązał fontaź, jak zaściankowy prowizor farmacji... Gdyby się dziś pokazał na ulicy — nawet nie w Warszawie, ale w Zgierzu — toby go chłopcy palcami wytykali, małe dzieci śmiałyby się do rozpuku. Elegant!

Dobrze — powiecie mi — moda! Moda wogóle jest kapryśna i zmienna. Szykowiec z r. 1900-ego wygląda w roku 1929-ym, jak nosorożec na wystawie drobiu. To już tak być musi i niema się czemu dziwić.

Owszem, zgoda, pomówmy o rzeczach poważniejszych.

Za moich lat młodocianych (opowiadam, jak sędziwy, zgrzybiały pamiętnikarz) stawiano w wytworniejszych punktach miasta latarnie gazowe. Owe latarnie składały się — że pominiemy szczegóły — z długich rur żelaznych, które odlewano w formie kolumn greckich. Trzon żłobkowany, kapitel ozdobiony wdzięcznie wolutami, kwiatkami, zawijasami. W owych czasach nawet zimne żelazo musiało przypominać dawną Helladę, byliśmy zawodowymi Grekami w architekturze, lepiliśmy z wapna i gipsu głupkowate pilastry, fryzy, architrawy i dlatego nasze ponure domy wdzięczą się teraz jeszcze bez sensu, jak stara kokietka, ale ich smutne okna nie przepuszczają światła, powietrza, dobroczynnych promieni do wnętrz, pogrążonych w wieczystym półmroku. I dopiero ktoś w dalekiej Ameryce wpadł na prosty pomysł, że żelazo-betan ma własną, odrębną poezję, jakiś powiew świeży zmiótł przestarzałe przesądy. Budujemy inaczej.

A także — właściwie mówiąc — malujemy inaczej, rzeźbimy inaczej, tańczymy inaczej, piszemy inaczej. Gramy na dziwacznych instrumentach melodje, od którychby nasi przodkowie dostali co najmniej pomieszania zmysłów...

No tak — powiecie — sztuka, poglądy estetyczne! Oczywiście — to się zmienia gruntownie z roku na rok, każde pokolenie wyczynia w tej dziedzinie inne hopki. To już taki zwyczaj i niema o czem gadać.

Nie upieram się. Proszę bardzo. Ze mną, jak z dzieckiem. Przejdźmy do rzeczy jeszcze poważniejszych.

W roku czternastym — przed wojną — byłem w Londynie. Na rogu Piccadilli jakaś czarna dama wręczyła mi pismo agitacyjne. Wieczorem tegoż dnia grono sufrażystek rozrzucało ulotki w sali teatralnej. Pochody, manifestacje, transparamenty, *votes for women*, okrzyki, sprawy sądowe. Skrzypiały głośno pióra po papierze we wszystkich redakcjach i w niektórych domach prywatnych. Publicyści, humoryści, komedjopisarze, feljetoniści, piosenkarze wałkowali ciągle w kółko jeden temat: kobieta w biurze? kobieta na giełdzie? kobieta w sądzie??! kobieta w magistracie??!! panna w parlamencie???!!!

Minęło lat piętnaście, tylko piętnaście. Mamy adwokatki, buchalterki, dyrektorki, lekarki, atletki, inżynierki. Język poprostu odmawia nam posłuszeństwa. Stworzyliśmy „posłankę", ale jak nazwać czcigodną *miss* czy *mistress*, która w dostojnym rządzie Wielkiej Brytanji objęła właśnie jakąś tekę? Ministrzyca? Ministrowa? Nie wiem...

Ale wiem, że starszy mój kolega po fachu, Galileusz, miał zupełną rację, kiedy tupnąwszy nogą w ziemię rzekł głośno: „A jednak się porusza!" Porusza się — i nawet, pomijając drobne wychylenia, biegnie po linji zdrowego rozsądku.

I jedno mnie tylko w tem wszystkiem zastanawia. Tylu sprytnych, przebiegłych powieściopisarzy, feljetonistów, piosenkarzy, humorystów próbuje odmalować przyszłość i jakoś nikt dotąd w sedno nie utrafił. Nikt z fantastów dawniejszych nie przewidział, że będziemy fruwali do Lwowa, słuchali wieczorkiem jazz-bandu z Barcelony, odbierali fotografie drogą radjową, kochali się w Grecie Garbo, którą znamy z ekranu. Nikt nie przewidział, że już w tym roku *czterdzieści miljonów samochodów* śmigać będzie po ulicach miast, po drogach i szosach...

Czasem i mnie coś podrywa. Chciałbym stanąć do turnieju, maczam piórko w kałamarzu i puszczam wodze fantazji. Jak też to będzie na świecie w roku 1979-ym?

Państwo Ipsylonostwo budzą się rano i — jak to w rodzinie — rozpoczynają dzionek od łagodnej sprzeczki. Mąż powiada, że trzeba wykręcić sypialnię do słońca (domy, oczywiście, będą się obracały koło osi pionowej), a żona jest innego zdania. Załatwiają sprawę polubownie: Ipsylon wynosi się z sypialni, Ipsylonowa „czyta" najnowszą powieść głośnego Igrekały. Czytanie polega na tem, że pewna taśma stalowa odpowiednio namagnetyzowana, biegnie w niedużym przyrządzie i Igrekała, powieściopisarz, głosem aksamitnym opowiada swemu czytelnikowi to, co mu chce opowiedzieć.

Ipsylon gimnastykuje się w gabinecie i „przegląda" jednocześnie dzienniki poranne — aparat, ustawiony w kącie, zawiadamia go o wszystkich zdarzeniach ważniejszych, deklamuje mu ostatnie depesze, ceduły, wiersze. Potem pan domu bierze się do pracy — gada do parlofonu i ten film dźwiękowy posyła do biura...

Dzienniki, weksle, książki, dokumenty *mówią same*, papier, który tyle nam krwi napsuł, znika z naszego życia. Celulozę przerabiamy na płynne i stałe potrawy jadalne.

Mój feljetonik dzisiejszy poddajemy lekkiej „wodoryzacji" i zamieniamy go na wytworne śniadanie...

Dosyć! Za lat pięćdziesiąt mój wnuk przeczyta te brednie i śmiać się będzie do rozpuku z czcigodnego pradziada.

RADWAN-PRAGŁOWSKI.

Mózg ludzki promieniuje rad

Medja jasnowidzące odkrywające kradzieże i zbrodnie. — Doświadczenia przy udziale prasy i świata lekarskiego. medjum Sabiry wobec przedstawicieli rządu.

Nowoczesna nauka o promieniotwórczości dowodzi, że nietylko radjum, pokłady kruszczów, ale także i organizm ludzki, a szczególnie substancja mózgu promieniuje radjoaktywnie. Promienie wychodzące z palców można już dzisiaj utrwalić na płycie fotograficznej, jak również promienie wychodzące od podstawy czaszki w czasie aktów myślenia, a badania te stały się punktem wyjścia dla naukowego wyjaśnienia zjawisk telepatji i jasnowidzenia *).

Telepatja polega na przenoszeniu myśli, wrażeń i uczuć z jednej osoby na drugą bez pośrednictwa zmysłów, podczas gdy w wypadku jasnowidzenia, samo medjum odczuwa to wszystko bez względu na czas i przestrzeń.

Każdemu zapewne są znane fakty przeczuć, wieszczych snów, jak również doświadczenia, podczas których medjum dotykając zapieczętowanych przedmiotów opowiada o ich właścicielu, — jak wygląda, gdzie przebywa, określając zarazem jego charakter.

W ten sposób wiele tajemnic może być ujawnionych bez wiedzy dotyczących osób.

Tego rodzaju doświadczenia przeprowadzał niejednokrotnie uczony nasz Dr. Ochorowicz, a także i James, Sidgwik, Lodge.

Nowoczesna wiedza tłómaczy te zjawiska udzielaniem się energji psychicznej danego indywiduum na pisany przezeń list lub noszony przedmiot.

Doświadczenia z medjami jasnowidzącemi naprowadziło uczonych na myśl, że możnaby je było zastosować z wielką korzyścią w życiu praktycznem, jak np. w poszukiwaniu osób zaginionych, jakoteż w tych wypadkach, w których chodziłoby o odkrycie zdarzeń przeszłych, w opisywaniu szczegółów nieznanych i t. p.

Posłuchajmy co zakomunikował znany uczony prof. Richet na jednym ze swych odczytów:

Bogata Angielka lady X ,która żyła w Paryżu, odkryła pewnego dnia brak swoich kosztowności i gotówki. Mimo sceptycyzmu, dała się namówić przez jednego ze swoich znajomych i poszła po poradę do medjum jasnowidzącego, które opisało kradzież z wszelkiemi szczegółami i wskazało na pewnego młodego służącego, jako sprawcę tej kradzieży. Ale właśnie ten służący cieszył się u swej pani jak największem zaufaniem, wobec czego jasnowidząca powiedziała: „Nie ośmielam się go więcej obwiniać, ale w każdym razie ten, który popełnił tę kradzież, będzie w przeciągu dwuch lat skazany na śmierć". — Policja mimo największych starań nie mogła ująć złodzieja, jakoteż odnaleźć skradzionych przedmiotów. — Dopiero w dwa lata później poruszyła cały Paryż wieść o morderstwie, którego sprawcą był osławiony Marchandon. W ciągu procesu wykazało się, że on to właśnie był sprawcą opisanej wyżej kradzieży, a dzień stracenia go na szafocie przypadł na koniec drugiego roku przepowiedzianego ongiś przez jasnowidzące medjum.

Z wielu podobnych zdarzeń przytoczę jeszcze jedno, za zezwoleniem generała hr. Szeptyckiego, którego on sam był świadkiem, a które mi opowiedział:

„W roku 1897, gdy jeszcze jako kapitan przebywałem w majątku hr. Forgacza na Węgrzech, w towarzystwie znajdował się między innemi inż. N. który na ogólną prośbę wprowadził pewną pannę nazwiskiem S. w głęboki sen hypnotyczny. W śnie tym owa panna zaczęła nagle wśród niezwykłego zdenerwowania opowiadać, że w tej chwili wlamują się złodzieje do domu w posiadłości jej rodziców, przechodzą przez cały dom, dostają się do pokoju jadalnego, i z kredensu wyjmują srebra. Dalej, że w domu powstaje zamęt, złodzieje skaczą przez okno, uciekają przez ogród i w pośpiechu ukrywają skradzione srebro pod kupą siana koło lodowni.



Profesor Dr. Radwan-Prągłowski.

Obecni na seansie zaciekawieni tem opowiadaniem, udają się natychmiast do wyżej wspomnianego majątku. — I oto rzeczywiście dowiadują się od przestraszonej służby o popełnionej kradzieży, a co najciekawsze że skradzione srebro znajdowało się faktycznie w miejscu wskazanem przez medjum".

Wyżej wspomniane fakty, jakoteż wielokrotne w tej dziedzinie doświadczenia, dały mi podstawę do praktycznego zastosowania jasnowidzenia.

Poniżej podaję ważniejsze wypadki z seansu z dnia 12-go kwietnia 1921 roku w sali Towarzystwa Hygienicznego przy udziale zaproszonych władz i przedstawicieli prasy, a na podstawie protokółu.

„Po odczytaniu swojej prelekcji p. Dr. Radwan przystąpił do eksperymentu telepatyczno-kontaktowego przy współudziale pp. Dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego, Stefana Urbanowicza, Dr. Latinika, oraz jako medjum p. Snarskiego.

(Eksperyment udał się w zupełności).

Następnie przystąpiono do odczytywania przez medjum p. Sabirę, córkę Mustafa Effendi, listów osób zaginionych.

Płk. Miedziński zapytuje o pewną osobę.

Medjum odpowiada następująco:

— Ta osoba jasno blond, średniego wzrostu, niebieskie oczy, ubrana na czarno.

(Rysopis zgadza się w zupełności, lecz zamiast niewiasty dana osoba jest mężczyzną).

Pan Snarski daje portfel należący do przestępcy.

Medjum mówi:

— Ten pan jest jeszcze młody, ale niesympatyczny, twarz okrągła, ogolona, wąsy maleńkie. Najczęściej chodzi z żołnierzem, który jest wysoki, włosy rude, piegi. Teraz niema go w Warszawie.

Rysopis zgadza się w zupełności.

(Eksperyment udany).

Podaję obecnie wyjątki z protokółu z posiedzenia odbytego dnia 16-go kwietnia 1921 r. w sali Tow. Hygienicznego w Warszawie, pod kontrolą komisji naukowej złożonej z pp. dr. med. Bronowskiego, majora dr. medycyny Wielowskiego, Kom. Policji I-go Warsz. Okręgu, nadkomisarza policji p. J. Rylskiego, Protokół prowadził redaktor Melicki.

„Z pośród listów złożonych przez słuchaczy, Komisja wybrała przez losowanie list pana Kalinowskiego mający na celu wyświetlenie sprawy zaginionych (skradzionych) przedmiotów. Medjum Sabira z zadziwiającą stanowczością twierdzi, iż kradzież popełniła osoba w Warszawie chwilowo nieobecna.

Medjum wyszczególnia przedmioty jakie skradziono.

Zainteresowany przyznaje, iż przedmioty odpowiadają faktycznemu stanowi rzeczy.

Dr. Radwan podczas przerwy zwraca uwagę słuchaczy, że w przeciągu pierwszych czterech eksperymentów medjum wszystko dobrze odgadło, co potwierdza jednogłośnie komisja.

Między innemi dalszemi doświadczeniami zasługuje na uwagę następujące:

Starszy przodownik p. Ryciński przedstawia z ramienia policji sprawę domniemanego przestępcy — chodzi o stwierdzenie, czy aresztowany jest rzeczywistym mordercą, względnie jaki jest rysopis mordercy prawdziwego.

Medjum stwierdza, że rysopis mordercy, według niej, jest następujący: średniego wzrostu, brunet, łysy, golona twarz, czarne oczy, dwie brodawki na prawym policzku, nos szeroki.

Przedstawiciel policji oświadcza, że podany rysopis jest najdokładniej zgodny z rysopisem uwięzionego. Medjum dodaje, że „morderca działał z jeszcze jedną osobą, która wygląda następująco: wysokiego wzrostu, zupełnie łysy, nos garbaty, ręce czerwone, ubrany po wojskowemu, chociaż nie żołnierz".

Komisarz policji zaznacza, że wiadomem jest, iż udział brał rzeczywiście drugi przestępca, zdemobilizowany żołnierz, z zawodu fryzjer, ostatnio bez zajęcia.

---

*) Ostatnio wywołały wielkie wrażenie w świecie naukowym doświadczenia prof. Sauerbrucha, który wykazał, iż organizm ludzki, wysyła emanacje uchwytne zapomocą czułych aparatów na odległość kilku nawet metrów.

Korowód szaleństw i zbrodni

Nie będą to szablonowo nudne wspomnienia z podróży zagranicznych, raczej wspomnienia jednej nocy, które dzisiaj odżyły we mnie nowemi barwami, bardziej zrozumiałemi i głębszemi.

Mając lat szesnaście byłem z rodzicami w Fiume. Piękna to miejscowość, położona na południu Istrji na granicy Dalmacji, do której przed wojną zjeżdżała się spora gromadka Polaków łaknąca widoku błękitnego nieba i granatowych głębin Adrjatyku. Namówiono nas na wycieczkę do Wenecji, wycieczkę, którą musiał odbyć każdy szanujący się cudzoziemiec, zamieszkały w Fiume. Wyjeżdżało się wieczornym okrętem, aby dotrzeć do Wenecji przed południem. Ten rozkład okrętów wycieczkowych miał na celu ukazanie pełnego czaru widoku Wenecji o wschodzie słońca.

Wyruszyliśmy sporą gromadką, której osią był niejaki p. M. rodak z Warszawy, rokrocznie spędzający sześć tygodni swego urlopu w Fiume. Mówiono o nim, że jest trochę sensatem, trochę melancholikiem, a wogóle bardzo miłym i ogólnie lubianym dla swych zdolności narratora.

Po dobrym obiedzie udaliśmy się do kabin sypialnianych. Na pokładzie było duszno, przytem denerwujący wiatr *sirocco*, pochodzenia afrykańskiego, dął bezustannie, niosąc na swych parnych skrzydłach miljony ziarenek piasku, utrudniających oddech. Pan M., który mnie bardzo polubił, obiecał mi pokazać wszystkie cuda, oczekujące nas o brzasku. Rzeczywiście już o godzinie 3-ej zbudził mnie i w dziesięć minut później usadowiliśmy się w głębokich, trzcinowych fotelach na pokładzie, otoczeni prawie całem naszem towarzystwem. Wiatr ustał zupełnie. Ciszę przerywały tylko kroki marynarzy oraz głuchy stukot turbiny, rozbijającej wodę w tyle statku. Za nami, na rozjaśniającym się pierwszą szarością widnokręgu, przebiegały krótkie błyskawice latarni morskiej u wejścia do austrjackiego portu wojennego Poli.

Wspominając fantastyczne przygody podróżników i bohaterów książek dla młodzieży, wyobrażałem sobie przymknąwszy oczy, że jestem jednym z nich i w tej chwili zdążam do nieznanego lądu, który mnie oczekuje ze wszystkiemi swemi pięknemi a groźnemi niespodziankami.

Pierwszy przerwał milczenie pan M. Zaczął mówić cichym głosem, jakby się obawiał spłoszyć miraż, który zaczął się zarysowywać przed naszemi oczyma, nabierając coraz bardziej wyrazistszych kształtów.

„Ujrzymy za chwilę Wenecję, tę Perłę i Królowę Adrjatyku, miasto najskrajniejszych poradoksów, gród pałaców i lepianek, kretowisko kanałów i sieć mostów. Miasto, które było potężniejsze od niejednego państwa, potężniejsze dzielnymi ludźmi i ogromem nagromadzonego złota. Miasto, które dyktowało swe warunki królom i cesarzom, miasto, którego okręty docierały tam, gdzie wogóle wówczas można było dotrzeć. Jego długie chciwe ramiona wdarły się wraz z Markiem Polo do Chin, pod wodzą patrycjuszów Mikołaja i Antoniego Zeno odkryły Islandję i Grenlandję, na sto lat przed Kolumbem zatknęły swe sztandary na ziemi Labradoru. Swym wszechstronnym handlem opanowały rynki Grecji, Trebizondy, Egiptu, Kandji, Sycylji i całe północne wybrzeże Afryki. Pieniądz wenecki przeniknął poprzez dzikie bory Lechicji nad brzeg Bałtyku, zdobywając tam żółty, drogocenny bursztyn. Długie karawany objuczonych wielbłądów brnęły przez spalone słońcem kamieniste pustynie Arabji i Persji, zwożąc pachnidła, olejki i kobierce".

„Nie znając konkurentów w handlu, nie lękając się dzikich hord germańskich i tatarskich, Wenecja królowała nietylko granatowemu Adrjatykowi, ale niemal całemu cywilizowanemu światu. Wyroby jej znane z kunsztownego wykonania poszukiwane były wszędzy, gdzietylko ludzie łaknęli potrzeb kulturalnych. Pieniądz jej posiadał większą wartość, od najlepiej notowanych walut giełdy dzisiejszej".

„Piękną i bogatą była dawna Wenecja i to stało się przyczyną jej zguby. Niczem kobieta, która spędza znaczną część swego żywota przed lustrem gotowalni, zapatrzyła się Wenecja w swoją potęgę odbitą w zwierciadle otaczających ją wód. Zapatrzyła się, zaczęła się pysznić sobą, pogardzać innymi, a jednocześnie drżeć o zachowanie swej krasy. Kornie biła pokłony przed złotym cielcem, jedynym swym bożkiem, który przynosi w darze swym wyznawcom rozkład i upadek".

„Wenecja oszalała z nadmiaru swych bogactw. Złoto zapełniające jej piwnice zatruło atmosferę bakcylami użycia i rozpusty. Pozwalało ono zaspokoić najdziksze wybryki przesyconych życiem wenecjan. Orgje i zabawy stworzyły z jej dotychczas wrzących pracą twórczą kanałów i gmachów wielką salę balową. Zgrubiałe od twardej pracy ręce zaczęto nagwałt pielęgnować, by aksamit skóry nie kłócił się z aksamitem stroju. Z trudem i przez wiele pokoleń nagromadzone bogactwa nagwałt wyrzucano za okno, by przepychem wystawy zaćmić swoich sąsiadów. Kobiety, które we krwi już mają łatwość wypróżniania kies dla każdej błyskotki, prześcigały się wzajemnie w kosztownych szatach i drogocennych klejnotach. Niektóre możne rody sprowadziły specjalnych urzędników, których zadaniem było wynajdywanie coraz to nowych rozrywek i przyjemności".

„Złoto rozpoczęło swe panowanie. Jego nieodstępni słudzy: wyuzdanie, zawiść, zazdrość, zbrodnia i gwałt wiernie mu sekundowali. Wytworzyły się dwa światy: jeden rozbawiony, kapiący od złota i klejnotów, upojony winem i zabawą, drugi podziemny, okrutny, ociekający krwią. A wszystko ukryte pod barwną, szyderczą maską karnawałową, podrygującą dniem i nocą w takt oszalałej muzyki".

„Stopy pięknych wenecjanek i ognistych trubadurów pląsały po kamiennych płytach Placu św. Marka, pod którym w ciemnych kazamatach rozgrywały się krew w żyłach mrożące zbrodnie. Głośne fanfary i hulaszcze okrzyki głuszyły ryk torturowanych niewinnie obywateli. Umajone kwieciem i zielenią gondole przepełnione tłumami dziwacznie postrojonych karnawałowych masek mijały się z ciemnemi gondolami niesprawiedliwej sprawiedliwości, wywożącej trupy swych ofiar na pełne morze. Każdy o tem wiedział, każdy o tem słyszał, ale zatykał uszy, zamykał oczy i szalał. Bogaty czy biedny, pan czy sługa bawił się, kochał, używał nie będąc pewien czy dożyje wschodu słońca".

„W pałacu dożów, w jednej ze ścian wmurowano głowę lwa z otwartym pyskiem. Skoro zmrok zapadał, co chwila przemykał się pod murem jakiś kształt ludzki, otulony w ciemną opończę z maską na twarzy, przystawał przy lwie i wrzucał mu w pysk zwitek papieru. Lew łapczywie pożerał wszystko. Martwe zwierzę wiernie pełniło służbę pośrednika szpiegów i donosicieli. Pracowało niestrudzenie w służbie zbrodni, patrząc pustemi oczodołami na trwający karnawał. Denuncjacje, wydobywane z brzucha potwora stawały się wyrokami śmierci Bogu ducha winnych ludzi. Porywani na skutek doniesień swych wrogów niewinni ludzie, otoczeni zbirami wszechwładnej Rady dziesięciu, stawali przed obliczem sędziów, którzy zgóry przesądzali losy swej ofiary. Przyznanie się do urojonych przestępstw i zbrodni wymuszano najbardziej wyrafinowanemi torturami. Kaci zmieniali się kolejno, zmęczeni swem strasznem rzemiosłem, które roztoczyło swe koszmarne królestwo w podziemnych kazamatach".

„Każdemu turyście pokazują w Wenecji most łączący pałac dożów z gmachem więziennym t. zw. *Ponte del Suspiri*. Ileż westchnień słyszał ów most z ust skazańców, którzy prowadzeni na śmierć poraz ostatni mogli rzucić wzrokiem na rozbawione tłumy. Most ten — to próg śmierci, za którym zaczynały się męki równające się chyba mękom piekielnym. Przekroczyło go wielu ludzi dostojnych, zasłużonych, bogatych, tych wszystkich, którzy byli solą w oku swym bliźnim. Niewielu z pośród nich udało się wrócić, a i ci ostatni powracali do świata jak zniszczone łachmany ludzkie".

„Gdy będziecie zwiedzać te ponure pomniki karnawału weneckiego usłużny, wrzaskliwy i koncesjonowany cicerone z kampanji Coocka pokaże wam ciemną celkę, gdzie gnił Marino Falieri, pięćdziesiąty piąty z kolei doża wenecki, którego jedyną zbrodnią była myśl nadania ludowi konstytucji. Ujrzycie słynne *„cele ołowiane"*, z których uciekł Casanova. Dotkniecie swemi stopami kazamat, do których woda wdzierała się niemal do pułapu podczas przypływu morza, by po odpływie pozostawić zatopione trupy ofiar. Będziecie mogli sfotografować pierścienie żelazne, w których szyja niejednej ofiary tkwiła całemi latami. Ogarnie was prawdziwa groza na widok ścian z ciemnemi, rdzawemi plamami, dokumentami odbytych tu kaźni i nieludzkich tortur. Ciemne kręte kurytarze, których niskie sklepienia zmuszą zwiedzających do nachylenia się niemal do połowy zdają się przechowywać w sobie brzęk łańcuchów i jęki boleści.".

„Z radością każdy opuści miejsce ponurych kaźni średniowiecznej sprawiedliwości, by odetchnąć czystem powietrzem, płynącem z morza. Wzrok nie krępowany wąskimi murami wilgotnych lochów z ulgą spocznie na delikatnych kamiennych koronkach pałaców i świątyń. Zewsząd sfruwające gołębie stają się prawdziwemi symbolami pokoju nastałego po bujnym lecz okrutnym okresie karnawału weneckiego".

„Wybaczcie mi, ale ilekroć zbliżam się do Wenecji, odżywają we mnie obrazy jej świetnej przeszłości i rozbawionego upadku. Wolę ją taką jaką była, aniżeli dzisiejszą sklasyfikowaną według numerów głupiego, zimnego i nieczułego Baedeckera".

Pan M. zamilkł. Nachylone i słuchające ze skupieniem twarze zwróciły się w stronę celu naszej podróży. I nagle z ust pań wyrwał się okrzyk pełen szczerego zachwytu. Przed nami na skraju horyzontu, lśnił złoty punkt wysyłający w stronę okrętu rażące promienie. W miarę zbliżania się punkt ten rósł i był moment, kiedy straciliśmy orjentację kierunków świata. Wschód i zachód złocił się jednakowo jaskrawem światłem wstającego słońca.

„Wenecja" — rzekł pan M. podnosząc się powoli z fotela.

Z fal morza wyłaniała się błyszcząca kopuła kościoła św. Marka...



Doroczna procesja w dniu patrona Wenecji św. Marka. (Atlantic).

Z. Grzybowski.



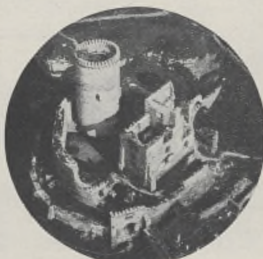
Kpt.-pil. Orliński, bohater wspaniałego lotu Warszawa — Tokjo — Warszawa, ponad śnieżnem pasmem rodzimych Tatr.

Samolotem nad Polską

Specjalne zdjęcia dla „7 DNI".



Warkot motoru żelaznych ptaków przerywa wiekową zadumę lipowieckiego zamku.



Ruiny zamku w Będzinie widziane przez silną soczewkę lornetki pilota.



Człowiek-ptak rzuca często z wys. 1200 m. tęskne spojrzenie na stare górnośląskie kościoły.



Rzut oka na pałac w Warce przekonuje lotnika, że nie tylko ruiny potrafią być piękne w Polsce.



Objektyw aparatu kradnie cudowny widok przelotu nad klasztorem w Tyńcu.

Człowiek który sprzedał własną głowę

Jerzy Drozd zaczął od tego, że zastawił stary zegarek po dziadku, wspominając z westchnieniem zacnego nieboszczyka. Później poszły ojcowskie spinki. Wreszcie srebrna imieninowa papierośnica. Aż nagle... dnia pewnego nie miał już nic do zastawienia.

Chwila ta dziwnym kaprysem losu zbiegła się z dniem poznania Blanki, przecudnego dziewczęcia o dużych, czarnych, palących oczach i białych, lśniących, zdrowych zębach.

Asystowanie najbardziej skromnej istocie pod słońcem wymaga pewnych kosztów. A cóż dopiero takiej Blance, otoczonej przez liczną „konkurencję", której należy tylko w to grać, („konkurencji", nie Blance) aby jego Drozda djabli wzięli.

Drozd był bliski rozpaczy, gdy nagle wzrok jego padł na gazetę w którą zawinięte były serdelki (obiad na chybcika w uniwerku spożywany):

KTO MA GŁOWĘ NA KARKU
MOŻE MIEĆ PIENIĄDZE!
Profesor Dr. Henryk Falkowski skupuje po cenach przystępnych pośmiertne prawo do głów ludzkich.
CEL NAUKOWY.
! GOTÓWKA NATYCHMIAST !
tel. 703-13.

— Eureka! — wykrzyknął Drozd i za chwilę wisiał przy mikrofonie, a tegoż jeszcze dnia bez zbyt wielkich trudności sprzedał swoją własną głowę za 360 zł. gotówką i przez cały tydzień posiadał monopol na względy pięknej Blanki.

Coprawda profesor oglądał czaszkę bardzo starannie. Nawet opukał specjalnym gumowym młoteczkiem. Wreszcie orzekłszy, że nadaje się, spisał umowę z Drozdem i pieniądze wypłacił.

— — — — — — — — — — — — — —

Minęło parę lat.

Jerzy Drozd skończył uniwerek, przebył przez piekło aplikantury i, przedzierzgnąwszy się w poważnego „pana mecenasa", rozwinął skrzydełka, by zasiadać z wielką fjoletową wstęgą na piersiach w surowych fotelach Sądu Okręgowego.

Stał się bardzo obiecującą młodą siłą i życie zdawało się do niego uśmiechać jednym ze swych najpiękniejszych, najbardziej słonecznych uśmiechów, gdy dnia pewnego otrzymał list, opatrzony zielonym znaczkiem U. S. A.

Szanowny Panie!

Z żalem donieść Mu muszę, że jestem właścicielką Jego czaszki. Odziedziczyłam ją jako jedyny wartościowy przedmiot po ś. p. wuju Henryku Falkowskim. Bawiąc przejazdem w Warszawie pragnęłabym obejrzeć ją. Proszę więc Pana bardzo o łaskawe pofatygowanie się dn. 23 b. m. około 5-ej pp. do hotelu Europejskiego.

Portjer wskaże właściwy pokój.

Wyrazy życzliwości łączę

(—) Wanda Lubiczówna.

Drozd wpadł w doskonały humor.

Prawda, sprzedał swoją głowę dla dawnej jeszcze przelotnej miłostki z jakiemś miłem dziewczątkiem. Pyszny kawał! Co za temat do feljetonu! A teraz — nieznana zamorska, straszne mądra i zapewne brzydka dziewica przyjeżdża aż z Ameryki by oglądać jego główkę...

Może znowu będzie mnie opukiwać młoteczkiem — myślał Drozd i śmiał się.

Poczem starannie zanotował czerwonym ołówkiem na kalendarzu:

Godz. 5 p.p. dn. 23 b. m. — moja głowa.

— — — — — — — — — — — — — —

Siostrzenica uczonego nie okazała się jednak brzydką jak Drozd przypuszczał. Blondynka o podłużnych nieco, szarych oczach, wyciętych ruchomych chrapkach, wąskich czerwonych ustach i bajecznie zgrabnych nóżkach, sprawiała bardzo miłe wrażenie.

Drozd przypatrywał się jej rozbawiony.

— Jakże się pani podoba moja głowa?— zapytał.

— All riht, bardzo piękna czaszka — odparła szczerze panienka, na której Jerzy zrobił bardzo dodatnie wrażenie — wuj Henio wiedział zawsze co czyni.

— Czy pani jest doktorem medycyny?

— Nie.

— Ach, rozumiem — roześmiał się — pani chce odsprzedać mi moją głowę.

Wanda rozgniewała pewność siebie młodego adwokata, przytem głowa Drozda podobała jej się coraz więcej.

Poczekaj, ja ci pokażę — pomyślała.

— Nie — odparła głośno — pańskiej głowy nie sprzedam. Zabardzo mi przypadła do gustu.

— Ależ, piękna panienko, to jest świetny kawał, lecz rozumie pani, że dla adwokata nie jest przyjemnie być „człowiekiem bez głowy"...

— To mnie nic nie obchodzi, drogi panie.

— Profesor zapłacił za moją czaszkę 360 złotych, chętnie dam pani jednak sumę trzykrotną.

— Nie.

— Dwa, trzy tysiące!

— Nie. Nie mam zresztą najmniejszej ochoty na targi. Czaszka podoba mi się. Proszę pamiętać, że jest moją własnością i nie narażać jej na zniszczenie, przez świadome lekkomyślne zachowanie się. Dowidzenia!

Jerzy Drozd wzruszył ramionami, skłonił się i wyszedł.

Mijały dnie i tygodnie. Młodego mecenasa zaczynała irytować myśl, że nie jest właścicielem swojej głowy.

Chwilami zazdrościł kolegom, znajomym, że są panami siebie. Bał się nadewszystko, by się wieść o tem nie rozniosła. Wiedział, że nie potrafi znosić spokojnie podobnych kpin na tak delikatny temat.

Czuł chwilami wyraźnie, że głowa poczyna mu ciężyć, umierać, przeszkadzać, że cała jego istotę ogarnia uczucie niewygody i niezadowolenia.

— Psiakrew! że też nie można oddać jej raz już tej głowy i więcej o tem nie myśleć!

— — — — — — — — — — — — — —

Niekiedy doznawał uczucia, że istotnie musi koniecznie na siebie uważać, bo przecież jest już w połowie sprzedany... Zdziwił się jednak, gdy wybierając się na ostatni międzynarodowy rajd samochodowy, w przeddzień startu otrzymał kartkę od panny Wandy Lubiczówny, w której ta młoda i uparta osóbka pisała mu, że dowiedziawszy się o zamierzonym projekcie, zabrania (wyraźnie napisała *zabrania)* ze względu na bezpieczeństwo głowy, brania udziału w rajdzie.

To dopełniło czary Drozdowego wzburzenia.

Wpadł w pasję. List podarł w drobne kawałeczki i na raid pojechał.

Jechał jak szalony. Tak jakby był właścicielem swojej głowy. Nie myślał o niczem innem jak o zrobieniu na przekór tej małej nieznośnej smarkatej z Ameryki.

— — — — — — — — — — — — — —

Trzeci etap. Szosa koło Opawy.

Kurz. Samochód. Pęd. Drozd. Głowa.

Kurz, kurz, kurz...

Fura! Gaz! Szybkość!

Wanda! Głowa! GłOwA!! GŁOWA!!!

Wiraż...

Coś stęknęło, zgrzytnęło, zawyło w głuchem klaśnięciu pękającej opony.

Jerzy Drozd leciał, leciał, aż wyrżnął głową naprzód w pobliski rów...

Katastrofa!

— — — — — — — — — — — — — —

Wanda Lubiczówna siedzi i patrzy.

Poduszki, bandaże, poduszki, głowa, Drozd.

Czuje, że ta głowa jest jej nieskończenie bliska.

Ta piękna męska, należąca do niej głowa.

Całe trzy długie, niezmiernie długie tygodnie borykania się ze śmiercią. Trzy tygodnie niepokoju, bezsennych nocy, wiecznej obawy. Mizerny okres czasu, w którym Wanda przeżyła więcej niż dotychczas przez całe życie.

Chory poruszył się i otworzył oczy.

— To pani — powiedział zupełnie przytomnie. Głos jego dźwięczał cicho i jakoś blado.

— Cicho, panie Jureczku, nie trzeba mówić.

— Moja głowa — szepnął ranny, pani chce moją głowę.

Wówczas, nie panując dłużej nad sobą, nie zdając sobie sprawy z tego co robi, pod wpływem niewiadomo skąd zrodzonego wyrzutu, pochyliła się nad nim i ująwszy delikatnie *swoją* biedną, obandażowaną głowę pocałowała ją w same usta...

Była przecież jej właścicielką.

Jerzy Lewestam.

Czy wiecie że...

...Anglicy użyli podczas wojny światowej ponad 100 tysięcy gołębi pocztowych. Jeden z takich gołębi odbył w ciągu niespełna 2 lat 153 loty meldunkowe Atlantyk — Anglja. Tensam gołąb przeleciał po wojnie w jednym locie bez odpoczynku 430 mil angielskich.

*

...ilość szarańczy, które w roku 1921 nawiedziły Afrykę południową, była tak wielka, iż w czasie lotu pokrywały w zupełności przestrzeń 250 kilometrów.

*

...pierwsza kolej żelazna na ziemiach polskich powstała pod zaborem rosyjskim w roku 1845. Pierwsze roboty rozpoczęto w roku 1842, dworzec kolejowy w Warszawie powstał w r. 1844, a w następnym roku uruchomiono pierwsze pociągi na linji Warszawa — Skierniewice. W tym samym roku oddano do użytku publiczności odnogę Skierniewice — Łowicz. W roku 1848 ruch kolejowy dosięgał już i Częstochowy, a w roku 1848 — cała linja kolejowa do dawnej granicy austrjackiej była w pełnym ruchu.

*

...mundury żołnierzy zostały wprowadzone po raz pierwszy przez króla Ludwika XIV.

*

..pierwszy tunel na świecie został zbudowany przez Semiramidę pod łożyskiem Eufratu.

*

...ostatnie badania archeologiczne wykazały, że w czasach przedhistorycznych dokonywano trepanacji czaszki, najwidoczniej na epileptykach i obłąkanych, w przypuszczeniu, że przyczyną tych chorób jest zły duch, mający swe siedlisko w mózgu, a przez zrobienie otworu w czaszce wypędzi go się stamtąd. Operacji tej dokonywano dłutkiem, co wymagało kilka dni czasu, a że pacjenci mogli wytrzymywać takie męczarnie, należy przypisać daleko większej niż dziś wytrzymałości na ból ludzi pierwotnych.

Ja— el.



Popularny komedjopisarz polski, p. Wincenty Rapacki (po. str. prawej), autor komedji „W czepku urodzony", która przekroczyła już w Teatrze Letnim trzydzieści przedstawień. Obok młody i wysoce utalentowany reżyser tej sztuki, p. Janusz Warnecki, jeden z najbardziej inteligentnych i twórczych reżyserów polskich. (Fot. J. Malarski).



P. Juljusz Osterwa, wielki polski artysta dramatyczny, twórca i dyrektor „Reduty", rozbił namioty w T. Narodowym w Warszawie, wystawiając „Przepiórkę" Żeromskiego. Arcydzieło to w świetnem wykonaniu całego zespołu „Reduty" z pp. Osterwą i Jaraczem na czele jest prawdziwą ucztą dla miłośników sztuki dramatycznej. (Fot. J. Malarski).



Znakomity artysta Teatru Polskiego p. Junosza Stępowski, idealny odtwórca roli króla w najnowszej komedji Shaw'a p. t. „Wielki Kram", wraz ze swym wybornym partnerem, p. Samborskim, świetnym ministrem-demagogiem. Obszerną recenzję z tej komedji podaliśmy w numerze 22-gim „7 DNI" (Fot. St. Brzozowski).



W tygodniu ubiegłym odbyła się pod przewodnictwem Pana Marszałka Piłsudskiego wielka konferencja na temat wychowania fizycznego młodzieży. Na fotografji widzimy pana Marszałka w towarzystwie gen Rupperta i płk. Ulrycha. (Światowid).



Podczas swej podróży na Wołyniu, Pan Prezydent Rzplitej wszędzie był entuzjastycznie witany przez ludność wszystkich wyznań. Na naszej fotografji Pan Prezydent zwiedza Ławrę Poczajowską w towarzystwie ks. metropolity Dyonizego. (Światowid).



Ameryka się rozbraja... Baterja kulomiotów ćwiczy się w obronie przeciwlotniczej. (Wide World).



Król hiszpański dekoruje wojskowych, z okazji posiedzenia Ligi Narodów w Madrycie. (Atlantic).

Nauka chodzenia

Zpośród wszystkich czynności fizycznych wykonywanych przez człowieka, bardzo trudną a zarazem i najniezbędniejszą jest chodzenie. I właśnie może dlatego, że od niemowlęctwa zaprawiamy się do tej czynności, która z biegiem lat przechodzi w zupełny automatyzm, nie zajmujemy się szczegółami tej interesującej funkcji fizycznej.

Pierwsze badania w tym kierunku zostały podjęte w XVII w. W braku wszelako niezbędnych przyrządów, pierwsi badacze musieli zaniechać dalszych obserwacyj, zapisując zaledwie ogólne zarysy przyszłej nauki.

Stwierdzić tu musimy, iż o ile odkrycia w dziedzinie chemji lub fizyki znalazły natychmiastowe niemal zastosowanie w dynamice mechanicznej lub elektrycznej, to natomiast nie starano się dotychczas ulepszyć sposobów chodzenia. Nie idzie tu, oczywista, o radykalne zmiany, gdyż na szczęście wrodzony instynkt samorzutnie przychodzi nam z pomocą. Zadanie to przychodzi nam bez trudu o ile dotyczy poruszania się po równej powierzchni i bez obciążenia; dużo wszelako możnaby uzyskać przy zbadaniu chodzenia po pochyłościach — w górę czy też z góry — i z obciążeniem. Uwagi te dotyczą zwłaszcza naukowej organizacji przy zatrudnianiu ludzi przy robotach budowlanych, w fabrykach, w kopalniach i t. p., gdzie oszczędność wysiłku może przynieść doniosłe wyniki.

Wspomnimy przedewszystkiem o tak zwanem obuwiu „rozpoznawczem", posiadającem podeszwę gumową, w której zawarta jest pusta komora, połączona zapomocą rurki z aparatem zapisującym okresy ruchów, wykonywanych przez chodzącego. Innym sposobem jest „metoda śladów" używana przez Gille de la Tourette'a i Berganie'go, polegająca na badaniu śladów, pozostawionych przez bosą nogę chodzącego na zakopconym papierze.

Celem rozpoznania poszczególnych ruchów chodzącego, Marey przyoblekał badanego w czarny trykot, na którym białe linje wskazywały poszczególne części ciała podlegające notowaniu. W ten sposób otrzymać można na czarnej taśmie krzywe, oznaczające interesujące nas zmiany ruchów, w wyniku czego przedstawi się nam przejrzysty schemat dynamiki ludzkiej. Badania słynnego fizjologa zostały uzupełnione przez obserwacje poczynione w szpitalu Beaujon w Paryżu przez doktorów Demeny i Quenu, którzy zastosowali zamiast linji specjalne przyrządy świecące. Następnym etapem było zastosowanie ruchomych chodników, dowolnie mogących zmieniać pochyłość terenu, do których dodano aparaturę mierzącą ilość pochłanianego tlenu. Przy tej ostatniej metodzie prof. Langlois i Broza przytwierdzali u miednicy obserwowanego aparacik, rzucający 42 iskry na sekundę, które się przenoszą w postaci linji, punktowanej na płytę, celem oznaczenia kolejnych zmian zaszłych w punkcie ciężkości ciała.

Zdawałoby się, że człowiek poruszający się po równej powierzchni, nie wykonuje żadnej pracy mechanicznej, gdyż tułów pozostaje w pozycji pionowej, a ruch wykonywany jest w sensie poziomym. Byłoby to słuszne, gdyby mięsień odzyskiwał podczas odwrotnej reakcji energję wydaną w poprzednim okresie. W tych warunkach chodzenie nie byłoby uciążliwe.

Nie jest tak w rzeczywistości — a najlepszym tego dowodem jest zmęczenie, występujące przy schodzeniu zgóry, pomimo, iż cały tułów, cofnięty do tyłu, przysparza ruchowi energji własnym ciężarem.

Oszczędność siły muskularnej da się przeto osiągnąć drogą zredukowania wspomnianych wahań do minimum, skąd zalecona metoda chodzenia, stosowana przez zawodowych sportsmenów: nogi ku przodowi, dotyk stopy całą powierzchnią. Jeśli przyjąć ponadto przyrost energji, osiągalny przez wstrzymanie gry mięśni w momencie, gdy obie stopy leżą na ziemi, otrzymamy znaczne zaoszczędzenie wysiłku. Będzie ono tem większe, im lepszy jest teren, po którym zachodzi proces chodzenia — a więc elastyczność, ułatwiająca reakcję przy dotyku stopy.

Idealnym terenem byłby oczywista gumowy — skąd powstała myśl o wiele prostsza: stosowania do obuwia podeszwy gumowej. Oszczędność energji wynosi w danym wypadku 20 procent.

POLSKA PROPAGANDA TYRYSTYCZNA ZAGRANICĄ.

W połowie czerwca wielki miesięcznik francuski „L'ECHO DES TOURISTES" wydał bogato ilustrowany numer specjalny, poświęcony turystyce polskiej. Numer ten zainicjował i przygotował paryski przedstawiciel „7 DNI", p. Leszek Sładowski.

Polskie i francuskie sfery oficjalne w Paryżu nie szczędzą słów uznania dla tej pracy, która bezwątpienia posiada wielkie znaczenie propagandowe.

Jak oszczędzać i dlaczego?



Nie starczy na to i na owo,
Cóż robić, miły Boże?
A jednak z pensji pięćdziesiątkę
Do P. K. O. — odłożę.



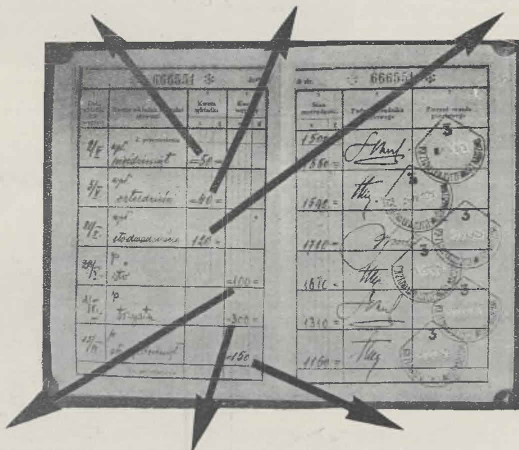
Kiedy jedziesz taksówką — złotóweczka pęka,
Jedź-że tanim tramwajem, zapamiętaj to:
A co miesiąc oszczędzone złotych kilkadziesiąt
Noś wytrwale na książeczkę do kas P. K. O.



Miło w wieczór sobotni „wdepnąć" do lokalu:
Powódź światła... Muzyczka... I ukłonów sto...
Lecz rozumniej i zdrowiej cofnąć się od progu.
Oszczędzoną krwawicę wnieść do P. K. O.

Wkłady oszczędnościowe zwyczajne przyjmuje P. K. O. od 1 zł. na 7% rocznie w Centrali, w oddziałach i we wszystkich urzędach pocztowych.

Wypłaty bez ograniczenia w Centrali i Oddziałach, a do 100 zł. w każdym urzędzie pocztowym w całem państwie. Nieograniczone dysponowanie złożoną gotówką.



Wkłady premjowane: kto wpłaca regularnie 8 zł. mies. — otrzyma kapitał 1000 zł. po latach 10 lub wcześniej w razie wylosowania.

Wkłady zwaloryzowane — w Centrali i Oddziałach są obliczone w złotych w złocie po kursie ogłaszanym.

Myślcie o jutrze!

Dążcie do dobrobytu!

Oszczędzajcie!



W chorobie nietylko Bóg nad nami czuwa,
Lecz nie wolno poniechać doktora i leku;
By zaś pomoc skuteczną okazać i radę, —
Pieniądze mieć musisz w zapasie, człowieku.



Szkolny rok zakończony... Wakacje, wywczasy,
Trzeba dziatwę mizerną wysłać na wieś już..
Pracowałeś, grosiwo nosiłeś do kasy,
Idźże teraz do P. K. O. oszczędności rusz!



Urlop... Po harówce rozerwać się godzi...
— Święta racja — odpowie małżonka Twa,
Złotych dwieście z „książeczki" ze sobą weź w drogę
I wnet razem zwiedzicie cuda P. W. K-a.

50-lecie W. T. W.

Myśl zorganizowania Towarzystwa Wioślarskiego, które obchodzi w tym roku 50-letni jubileusz zasłużonej działalności została powzięta przez grupę młodzieży ze świata mieszczańskiego stolicy z powodu otwarcia w Warszawie „Yacht Klubu". Klub ten otworzyli ku swej wygodzie i przyjemności Niemcy, zajmujący w rządzie rosyjskim Polski stanowiska pierwszorzędne. Ograniczona liczba młodzieży polskiej, która weszła do Yacht Klubu czuła się obco i nieswojo, wobec czego pomyślano o zorganizowaniu placówki polskiej.

Skromne to były początki. 11-członków towarzystwa zakupiło jedną łódź wioślarską i mały budyneczek w krypie. Saldo pierwszego roku działalności wykazało dochód w wysokości... 9 rubli 51 kop. Z biegiem czasu grono stowarzyszonych powiększyło się i rozszerzono przystań oraz zakupiono łodzie. Rozpoczęto wobec tego zabiegi o zalegalizowanie stowarzyszenia. Nastąpiło to jednak dopiero w r. 1882, kiedy na czele Towarzystwa stanął, nieżyjący dziś, doktór Henryk Stankiewicz. Energją i stosunkami u władz rosyjskich w Petersburgu potrafił on wyjednać zatwierdzenie pierwszego Statutu Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego i w czerwcu roku 1882, Towarzystwo, które już — w owym czasie liczyło 292 członków, uroczyście otworzyło nowozbudowaną przystań na Wiśle.

Od tego czasu W. T. W. wysunęło się na czoło istniejących w Kongresówce stowarzyszeń, pełniąc jednocześnie służbę społeczną.



Podczas uroczystości poświęcenia nowej przystani W. T. W. odbył się chrzest kilku łodzi. Na ilustracji naszej widzimy wiceprezesa W. T. W. p. Michalskiego małżonkę znanego sportowca, p. Lothową, oraz prezydenta m. st. Warszawy inż. Z. Słomińskiego.

Tak... Inneć to były czasy, o których na szczęście wspomnienie jeno zostało i wdzięczna pamięć o tych, co nie żałując trudu i wysiłku, usilnie pracowali nad tworzenim krzepkich duchem obywatelskim i karnością organizacyj społecznych.

Dzielni wioślarze warszawscy okazywali serce dla każdej potrzeby. Nigdy nie zawiedli. Podczas klęsk powodzi nieśli pomoc ludności, zorganizowali wiele zbiórek na cele społeczne, ofiarowali swą pracę i energję podczas groźnych dni wojny światowej, służąc w szeregach straży obywatelskiej, tłumnie pośpieszyli na apel, broniąc stolicę przed nawałnicą bolszewicką...

Nie spisać tych wszystkich poczynań w tak krótkim wspominku. Dość powiedzieć, iż organizacja wioślarzy cieszy się ogromną popularnością, którą sobie zdobyła wytrwałą i ofiarną pracą dla społeczeństwa i Ojczyzny.

Ad multos annos!... *e. r.*

(Zdjęcia do naszej planszy wykonał J. Ryś).



Wielokrotny mistrz Polski w wioślarstwie, Osiecimski-Czapski

Wzorem W. T. W. Warszawski Klub Wioślarek zaprowadził rasowe łodzie. Na ilustracji naszej widzimy osadę, która wielokrotnie odniosła zwycięstwa w kraju i zagranicą.

Mistrzostwo Polski w kolarstwie

Tłumy publiczności stołecznej pośpieszyły w dniu 23 b. m. na Dynasy , na rozgrywkę, która miała się odbyć pomiędzy zeszłorocznym mistrzem, L. Turowskim, a młodym „asem", Henrykiem Szamotą, przybyłym z Paryża po odniesieniu świetnego zwycięstwa w wyścigu o t. zw. „Wielką Nagrodę Czerwcową".

Czterokrotnie mierzyli się ze sobą przeciwnicy. Metodę jazdy Turowskiego witano protestami, zwłaszcza gdy podczas trzeciego parcouru brutalnie zepchnął Szamotę i obaj rulowali, odnosząc bolesne obrażenia.

— Granda-a-a!!! Precz z toru!!!

Zespół sędziów podzielił ten pogląd publiczności i dyskwalifikując Turowskiego przyznał mistrzostwo Szamocie.

Zeszłoroczny mistrz Polski. Ludwik Turowski i obecny mistrz, Henryk Szamota startują do wyścigu pół-finałowego.





Dzięki sprężystej organizacji Automobilklubu Polskiego raidy samochodowe wypadają coraz okazalej. Na ilustracji naszej widzimy niestrudzonego prezesa Automobilklubu, Karola hr. Raczyńskiego, przyjmującego po finishu dzielnych zawodników.

Raid samochodowy

Raid samochodowy — instytucja to nie jest nowa. Już przed laty dwudziestu bywało tak, że kilku gentlemanów, w społeczeństwie uważanych za nałogowych samobójców wybierało się na raid, powiedzmy, z Warszawy do Łowicza. Przez tydzień tacy zapaleńcy czynili gorączkowe przygotowania, naradzali się z meteorologami, astrologami i lekarzami, zaś rodziny ich umawiały się o rabacie w biurach pogrzebowych. Poza kuframi i tobołami zabierali samochodziarze zapasowe bańki z benzyną (bo nie w każdej aptece po drodze można było dostać). Po długich tarapatach wyjeżdżali, pozostawiając w mieście smród niespalonych gazów i nieutuloną w żalu rodzinę.

Po tygodniu, okryci chwałą wielkiego wyczynu sportowego, automobiliści powracali do miasta i byli przedmiotem podziwu tak długo, aż inne towarzystwo nie zajechało dalej, naprzykład do Kutna.

Tak to bywało dawniej, za czasów, których nie pamiętam. A dziś?

Obecnie Automobilklub wydaje manifest: raid tegoroczny idzie przez Polskę, Czechosłowację, Niemcy i jeszcze raz Polskę. Dziennie trzeba będzie robić po pięćset kilometrów, przyczem w paru miejscach odbędą się próby szybkości. Dalej następuje cała litanja karnych punktów, czychających na automobilistę na każdym kilometrze niezawsze doskonałej drogi.

Te punkty karne jednak przy obecnym stanie techniki budowy samochodów nie są tak bardzo groźne dla rutynowanych kierowców. Dobry, uczciwie zbudowany motor nie ma prawa odmówić posłuszeństwa, a resory stopniowo przyzwyczaiły się do polskich dróg i pękają coraz rzadziej. Inna rzecz, jeśli kierowca uporczywie chce trzymać się na szosie nieprzepisowej strony (złośliwi twierdzą, że w Czechosłowacji po polskim raidzie wszystko odrazu nauczyło się jeździć prawą stroną zamiast lewą). Wtedy zamiast punktów karnych może znaleźć zastosowanie nawet kodeks karny.

Procedura zbierania punktów karnych jest taka: w pierwszym dniu raidu nowicjusz raidowy goni, jak opętany, przybywa pierwszy na etap i zebrawszy owacje, zamiast zatroszczyć się o maszynę, idzie na kolacyjkę. Nazajutrz rano motor „nie chce" w przepisanym czasie zapalić. Pierwsze punkty karne są witane ze źle ukrytem rozradowaniem przez konkurentów. Dalej z punktami idzie, jak z płatka...

Szczegóły tej interesującej imprezy wraz z fotografjami znajdą nasi czytelnicy w następnym numerze „7 Dni". *i. k.*



Sympatyczna zawodniczka czeska, p. Wiera Zahradnikowa.



Dziejopis raidu samochodowego. Zdzisław Kleszczyński niezmordowanie notuje szczegóły przebiegu. Na najbliższym etapie zasiądzie do „Remingtona" i wystuka pełne werwy sprawozdanie...

Co słychać na świecie?

Europa posiada jeden wielki wrzód, który pomimo usiłowań znajduje się ciągle w stanie zajątrzenia. Wrzód ten — to Niemcy. Wojnę przegrały sromotnie i dlatego rzecz prosta musiały ponosić pewne ciężary wojenne. Wzdragały się jednak z płaceniem swych zobowiązań i — żądając redukcji danin — dawały niedwuznacznie do zrozumienia, iż nie będą mogły ponosić odpowiedzialności za ew. przewrót wewnętrzny, będący następstwem rzekomego „przeciążenia" ludności podatkami. Wszedł więc w życie, po planie Dawesa, plan Younga, który to fakt należy zrozumieć jako wielki sukces niemiecki. Będą tedy Niemcy płaciły przez 37 lat po 1.700 milj. marek, zaś przez następnych 21 lat po 1.700 milj. marek rocznie. Zarabiają więc w pierwszym okresie po pół miljarda marek, zaś w okresie następnym około 800 miljonów marek. Niezależnie od tego ustaje wszelka kontrola finansowa i polityczno-gospodarcza, wszelkie redukcje dotyczące świadczeń rzeczowych i obciążanie specjalnemi daninami eksportu niemieckiego. Jednem słowem można powiedzieć, iż w obecnej dobie są Niemcy państwem zupełnie suwerennem gospodarczo. Tymczasem, zamiast przyjąć dobrodziejstwa te z podziękowaniem, podnoszą larum.

* * *

Mało kto przypomina sobie zapewne, iż jednym z punktów programu socjalistów angielskich, przy ostatnich wyborach, było opuszczenie Nadrenji. Po dojściu do władzy Mac Donalda, żądają Niemcy najbezczelniej w świecie wykonania tego punktu i chociaż nie zwracają się bezpośrednio o poparcie ze strony angielskiej, to jednak tak należy rozumieć wysunięcie tego dezyderatu z ich strony. W skutku Mac Donald znajduje się w dosyć dwuznacznem położeniu. Nie można odmówić Niemcom poparcia, przyczem jednakże musi się liczyć z opinją Francuzów i choćby nawet Ameryki. O tem Niemcy wiedzą i — bądźmy pewni — wykorzystają sytuację odpowiednio.

* * *

Obecnie upływa rocznica dziesięciolecia podpisania traktatu w Wersalu. Każde z państw na swój sposób święci tę rocznicę. My Polacy przypomnimy sobie, iż akt ten przywrócił nam niepodległość i zjednoczenie. Nieco inaczej dzieje się w Niemczech. I tam będą święcić rocznicę we wszystkich uczelniach na podstawie szczegółowych instrukcyj. Przedewszystkiem więc poda się młodzieży niemieckiej mapę przedwojenną i mapę dzisiejszych Niemiec. Dowodzi to, iż jak zawsze, tak i w tym wypadku dążą Niemcy systematycznie do wsączenia jadu zemsty w młode serca. I jeszcze jedna rzecz: oto młode pokolenie niemieckie wyrasta w przekonaniu krzywdy dziejowej, wyrządzonej Niemcom i dlatego nie dziwmy się, jeśli po kilku latach znajdzie się na forum międzynarodowem powtórnie sprawa odszkodowań niemieckich, tym razem jednak celem ich... skreślenia.

* * *

W związku z pobytem Pana Prezydenta na Wołyniu należy podkreślić dwa znamienne fakty: w imieniu maturzystów gimnazjum w Krzemieńcu przemawiał absolwent Tkaczuk. Podkreślił on jednakie wychowanie wszystkich uczniów bez różnicy narodowości i religji, poczem — stwierdzając całkowitą lojalność maturzystów Ukraińców wobec Państwa — nazwał Polskę Ojczyzną Ukraińców i przyrzekł, iż zadaniem jego i jego kolegów będzie szerzenie na wsi wołyńskiej ideałów, zmierzających do szczęścia wspólnej Ojczyzny i wspólnych tradycyj. Drugi godny podkreślenia fakt, to postępek ks. dziekana Sobolewskiego, który podczas defilady delegacji cywilnych przed Prezydentem w Łucku, kroczył na czele delegacji, ustępując honorowe miejsce po prawej stronie sędziwemu rabinowi. Dwa te zdarzenia każą nam z ufnością patrzeć w przyszłość w tem przekonaniu, iż tak nauczycielstwo, jak i duchowieństwo na Wołyniu jest w całej pełni świadome swego powołania i swych obowiązków wobec państwa i dobrze obowiązki te wypełnia. Mając młodzież wychowaną przez takich nauczycieli, jak w Krzemieńcu, społeczeństwo prowadzone przez takich księży jak w Łucku — możemy drwić z zakłócenia spokoju przez naszego „czerwonego" sąsiada.

Ja...el.

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY

30 N Wsp. św. Pawła

Lipiec

1 P Krwi Jezusa
2 W Nawiedz. NMP.
3 Ś Heljodora
4 C Kalasantego
5 P Antoniego
6 S Izajasza

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

Słońce w.	Słońce z.	Księżyc w.	Księżyc z.
3.19	20.0	0.2	12.26
3.19	20.0	0.14	13.46
3.20	19.59	0.28	15.9
3.20	19.59	0.45	16.39
3.21	19.59	1.9	18.11
3.22	19.58	1.41	19.37
3.23	19.58	2.31	20.48

KALENDARZYK HISTORYCZNY

30.VI 1651 r. — Zwycięstwo Jana Kazimierza nad Bohdanem Chmielnickim i Tatarami pod Beresteczkiem.

1.VII 1569 r. — Unja Lubelska zawarta między Koroną a Litwą.

2.VII 1669 r. — Elekcja Michała ks. Korybuta Wiśniowieckiego na króla polskiego.

4.VII 1890 r. — Pogrzeb Adama Mickiewicza na Wawelu.

pod Guzowem i stłumie-
6.VII 1607 r. — Bitwa
nie rokoszu Zebrzydowskiego.

6.VII 1796 r. — Śmierć Adama Naruszewicza dziejopisarza i poety polskiego.

KALENDARZYK SPORTOWY

29.VI — regaty W.T.W. w 50-letnią rocznicę istnienia towarzystwa.

29.VI—1.VII ćwiczenia gimnastyczne na zlocie sokolstwa w Poznaniu.

TEATR

WIELKI

dn. 27. Wesele Figara.
dn. 28. Cyganerja.
dn. 29. Carmen.
dn. 30. Pan Twardowski.

NARODOWY

do dn. 30 b. m. włącznie „Uciekła mi przepióreczka".
od dn. 1.VII. „Fantazy".

LETNI

„W czepku urodzony", W. Rapackiego.

POLSKI

„Wielki Kram" Bernarda Shaw.

MAŁY

„Śluby Panieńskie" A. Fredry.

Radjo - Ogród Philipsa (Mazowiecka 9)

Codziennie oprócz poniedziałków Koncert-Dancing od godz. 17-ej do 22-ej.

MORSKIE OKO

„Warszawa w Kwiatach"

Zwiedzajcie Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu!

KINO

Hollywood: „Królowa Jazzbandu" z Lyą Marą i K. Huszarem.

Colosseum: „Zapomnisz o mnie" z Ricardo Cortezem.

Pan i Capitol: „Dalsze dzieje Tarzana".

Casino: „Wir życia" z Lois Moran i Verą Veroniną.

Splendid: „Żona na dwa tygodnie" z Marion Davies.

Stylowy: „Mężatki! strzeżcie się" z Claire Windsor.

Filharmonja: „Muzułmanka" z Hugnette Duflos.

Apollo: „Uwiedziona kochanka".

Wodewil: „Rywale ludzi" i „Lotnik w płomieniach".

Światowid: „Dlaczego kobieta zdradza" z Emilem Jannigsem i Conradem Veidtem.

28.VI—30.VI raid motocyklowy na trasie Łódź — Bydgoszcz — Gdynia — Łódź (1027 km.).

30.VI — 100 kilometrowe mistrzostwa kolarskie województwa warszawskiego, oraz 50 kilometrowy bieg dla turystów.

RUCH NA P. W. K.

29 czerwca:

Kongres Zjednoczenia Bractw Kurkowych — dz. VIII. Wszechsłowiański Zlot Sokolstwa od 29.VI do 1.VII. Stadjon — osób 1.000. Zjazd Kół krajowych młodzieży szkolnej od 29.VI—2.VII — osób 500. Zjazd Głuchoniemych od 29—30.VI — osób 700, sala p. Jarockiego, Masztalarska 8. Zjazd Lekarzy Weterynarji — 29.VI—1.VII. Wszechpolski Zjazd Piekarstwa — dzień II ostatni. Wycieczka Ameryk. Sokoła ork. Tow. Uniwers. — osób 300 — 500. Zawody tennisowe. Konkurs powozów. Pokazy szkoły wychowania fizycznego.

30 czerwca:

Kongres Zjednoczenia Bractw Kurkowych — dz. IX. Wszechsłowiański Zlot Sokolstwa — dzień II. Zjazd kół krajowych młodzieży szkolnej — dzień II. Zjazd Głuchoniemych — dzień II ostatni. Zjazd Lekarzy Weterynarji — dzień II. Wycieczka Sokoła Ameryk. — dzień II. Zjazd Wlkp. Zw. Cechów Piekarskich — 30.VI. 29 (jeden dzień). Zawody tennisowe Zw. Polaków w Ameryce (okręt „Lituania").

Przejazdy zgłoszone bez dokładnego określenia dnia przybycia.

Ława szkolna dla dorosłych

Każdy z nas (mówię o dorosłych) przypomina sobie, jak będąc w szkole nabijał sobie głowę przeróżnemi mądrościami, które zatruwały niejedną szczęśliwą chwilę „cielęcych lat". W okresie zdawania matury, chodziliśmy naładowani formułami, datami i słówkami łacińskiemi niczem akumulatory elektryczne. Myśli nasze układały się we wzory geometryczne, każdą rozmowę na najbłahszy temat chcieliśmy sprowadzić do dyskusji matematycznej.

Czasy szkolne minęły. Jesteśmy na stanowiskach samodzielnych lub urzędniczych. Posiadamy w swych biurkach duże bristole z pięknie wykaligrafowanym napisem: „Świadectwo dojrzałości" Zobaczmy ile też wiadomości zdobywanych w pocie czoła, w szkole średniej zostało się u nas w pamięci. Sprobujmy czy uda nam się odpowiedzieć i na które z poniższych pytań.

PYTANIA.

1) Skąd pochodzi przysłowiowa „kaczka dziennikarska"?

2) W jakim kraju zabronione jest spanie przy otwartem oknie?

3) Skąd pochodzi wyrażenie „Wioski Potemkina"?

4) W jakiem jeziorze utonięcie jest prawie niemożliwe?

5) Jaki gad może wysunąć język na długość swego ciała?

6) Skąd pochodziła carowa rosyjska, Katarzyna II?

7) Dlaczego jadamy jajka wielkanocne?

8) Jak daleko może skoczyć królik-samiec?

9) Czy i jaka jest różnica między pulsem noworodka, a pulsem człowieka starego?

10) W jakiem mieście urodził się Rubens?

11) Jakie są najbardziej znane republiki murzyńskie?

12) Co to jest i w jaki sposób powstaje śreżoga?

13) Skąd powstało wyrażenie „Wuj Sam" (Oncle Sam)?

14) Kto pierwszy frunął do bieguna północnego?

15) Jaka część świata leży częściowo na północnej, a częściowo na południowej półkuli?

16) Jakie zwierzę pozbawione jest całkowicie zmysłu wzroku?

17) Która godzina jest w Nowym Jorku, gdy w Warszawie jest 12-a?

18) Jaki papież był z pochodzenia Anglikiem?

19) Kto wynalazł malarstwo olejne?

20) Odkąd stosowana jest narkoza przy operacjach chirurgicznych?

21) Skąd bierze się błękitne oświetlenie słynnej „Niebieskiej Groty" na Capri?

22) Santiago, duże miasto w Chile, ma swojego imiennika w Europie. Gdzie?

23) Skąd pochodzi nazwa kartofle?

24) Co oznacza po polsku „szach — mat"?

25) Od jakiego roku istnieje pismo angielskie „Times"?

Odpowiedzi na str. 22.

Listy anonimowe

(Studjum psycho-kryminologiczne)

Wielce Szanowny Panie Ławniku!

Brzydzę się plotką, nienawidzę oszczerstwa, jak ognia lękam się potwarzy. Uważam natomiast za swój święty obowiązek otworzyć oczy mej władzy na zgniliznę, która wkradła się do Wydziału ...ego naszego Magistratu i grozi skandalem i kompromitacją całej instytucji. Mam na myśli starszego pomocnika młodszego sekretarza zastępcy starszego referenta Wydziału Zakładania Sztucznych Nieużytków. Pan ten (kanalja, jakich mało!), pobierając 310 zł. miesięcznej pensji wraz z dodatkami, pali „Egipskie-specjalne", chodzi z żoną na parter do „Morskiego Oka", a wczoraj nawet widziałem, jak wysiadał z taksówki przed „Małą Ziemiańską". Pomijając już znamienny i podejrzany dowód symulacji (odmówił mi pożyczki 20 zł.!), rzecz jasna, że pensja jego na to życie nad stan nie wystarcza. Nagłe zarządzenie rewizji ksiąg wykryje bezwątpienia źródło tej niegodnej rozpusty. „Caveant, consules" — jak mówili Rzymianie.

Długoletni urzędnik.

P. S. Piszę na maszynie i nazwiska nie podaję, bo jako człowiek porządny, nie chcę babrać się w tem błocie...

Idjoto!

Całe miasto trzęsie się ze śmiechu za twemi plecami, wytykają cię palcami i nazywają „Rogaczem Wspaniałym", a ty nadal trwasz w obłędzie i świata nie widzisz po za tem czupiradłem, które usidliło cię do tego stopnia, że od dwuch lat nosi twe nazwisko, chociaż złamałeś tem niejedno czułe serce... Dowiedz się więc, że żona zdradza cię na prawo i na lewo. W ubiegły piątek widziano ją wychodzącą z domu, w którym na drugiem piętrze odnajmuje pokoik Ypsyloński. Do Warszawy jeździła nie dla porady lekarskiej, lecz dla amorów ze swym kuzynkiem, z którym obcałowywała się po wszystkichr kątach jeszcze wtedy, kiedy nosiła mundurek pensjonarki. A pan Edward, który dziwnym trafem właśnie wtedy przychodzi do ciebie z wizytą, kiedy jest pewien, że cię w domu nie zastanie? Nie wspominam już o kapitanie S., bo o tem wróble na dachach świergoczą. Ale „cierp ciało, kiedy ci się chciało". Jeśli dogadza ci być pośmiewiskiem własnej służby — pozostań przy swej heterze. Ale człowiek honoru postąpiłby inaczej. Rzuciłby tę Messalinę i znalazł pocieszenie przy boku godnej siebie, czułej istoty.

Przyjaciółka.

Panje Kumi Sażu!

Robote na Rzelazny Ulicy to zrobił ten Feleg Kolasiński. A skurki to som na prze Chowaniu w melinje u Parczykoskiej. Feleg tera sipia z białom Mańkom na Bednarski ulicy nómer 307. Ale trza pszyńść nadranem, bo wcześni nie przy Chodzi. Apisze latego że Mańka to była moja brzana a Feleg mi jom odbiuł.

(bez podpisu).

Listy anonimowe...

Setki i tysiące podobnych listów rozrzucają codziennie listonosze po urzędach, biurach i domach prywatnych. Narzędzia zawiści lub zemsty, listy anonimowe pod płaszczykiem „obowiązku" moralnego lub społecznego, sączą jad zwątpienia i podejrzeń, doprowadzając czasami do tragicznych konfliktów. Zawsze tchórzliwe, a często niecne, występują czasami w formie epidemicznej.

Wyłączając pojedyńcze fakty denuncjacji, która w wielu wypadkach jest anonimową tylko dlatego, że oskarżyciel, człowiek spokojny, ceniący ten spokój, nie chce narazić się na zemstę oskarżonego lub na zawsze przykre stawanie w sądzie w roli świadka—*anonimografja*, jak to stwierdziły badania naukowe, jest zboczeniem, zaś *anonimograf*—człowiekiem nienormalnym, podobnie jak *kleptoman* (nieświadomy złodziej) i *dipsoman* (nieświadomy alkoholik). Psychologja rozróżnia trzy rodzaje anonimów: anonim człowieka tchórzliwego, lecz kierującego się dobremi pobudkami, — anonim przez zemstę lub dla celów prywatnych, — oraz anonim chorobliwy.

A oto charakterystyczny przykład anonimu na tle anormalnych stosunków powojennych.

Do pewnego komisarza policji zgłosiła się niedawno pewna pani, ze łzami w oczach błagając go o obronę przed jakimś nikczemnikiem, który prawie codziennie wsuwa pod drzwi jej mieszkania otwarte i niepodpisane kartki anonimowe, pełne najbezecniejszych potwarzy i najohydniejszych nieprzyzwoitości. Oryginały tych kartek wskazywały na męski charakter pisma — niestety, ofiara anonimografa nie umiała zwrócić podejrzeń policji w żadnym określonym kierunku. Na prośbę komisarza, dostarczyła mu nazajutrz obfity materjał porównawczy w postaci setek listów, pokwitowań i t. p., które otrzymała w okresie ostatnich kilku miesięcy. Po bliższem zbadaniu wpadło komisarzowi w oko wielkie podobieństwo anonimów do charakteru pisma pokwitowań za opłatę komornego. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że autorem wszystkich niecnych anonimów był gospodarz domu, który miał zwyczaj kwity te wypełniać własnoręcznie. Mimo, że ofiara tego nędznika przeczyła podobnej możliwości, pod niebo wynosząc honorowość, szlachetność i t. p. zalety kamienicznika, komisarz wezwał do siebie tego pana. Po dłuższej rozmowie w cztery oczy, przyparty do muru anonimograf przyznał się do wszystkiego.



— Cóż miałem robić? — tłomaczył się cynicznie — ta pani, korzystając z przywilejów wdowy po oficerze, poległym na froncie, płaci mi marne grosze za piękny apartament, za który mógłbym wziąć z pięć tysięcy dolarów „odstępnego". Chciałem jej obrzydzić życie w mym domu i dlatego zasypywałem ją takiemi listami... Nie jest to chyba żadnem przestępstwem i nie może być karane...

Komisarz wyprowadził go z błędu. Listy zawierały masę nieprzyzwoitych ustępów i pogróżek, przyczem niejednokrotnie wpadały w ręce młodej córki prześladowanej lokatorki. Zachodził więc m. in. fakt obrazy moralności. Przerażony gospodarz obiecał poprawę i odtąd biedna wdowa mogła spać i mieszkać spokojnie...

Interes, zazdrość, zemsta — oto przyczyny, które mogą natchnąć człowieka normalnego (o ile wogóle ludzie *zupełnie* normalni istnieją...) do niepodpisania listu, własnoręcznie skreślonego. Ale wszystkie te małe podłostki, obracają się dookoła pewnego pojedyńczego konkretnego faktu i pewnej osoby — podczas, gdy osobniki, dotknięte manją pisania listów anonimowych, kreślą je „bezinteresownie i „hurtem", od kilku do stu dziennie, czyniąc to przez pewien dłuższy okres czasu, a nawet i przez całe życie, przyczem wysyłają je często pod adresem osób, z któremi nic nie mają wspólnego.

Wogóle zbytnia „rozlewność" w pisaniu listów, jest jednym z symptomatów zakłócenia równowagi umysłowej. Każdy z doktorów, pracujących w zakładach dla obłąkanych, jest codziennie zasypywany listami swych pacjentów. Zjawisko to posiada nawet swą specjalną nazwę naukową: *graphorrea*.

Zdarzały się wypadki, w których jeden zapalony anonimograf popełnił około dwuch tysięcy różnych listów w przeciągu niespełna trzech tygodni, poświęcając tej „pracy" dnie i noce, gdyż w każdym z tych listów musiał zmieniać charakter pisma. Dwieście, trzysta listów anonimowych w jednej i tej samej sprawie, są natomiast na porządku dziennym.

Wbrew utartemu przekonaniu, anonimograf, aczkolwiek z reguły wypiera się swych postępków, nie lubi samotnej pracy i bardzo często dobiera sobie współpracowników, starając się rozpowszechnić manję, którą jest dotknięty. Zdarza się, że całe rodziny przez lata całe oddają się temu zajęciu. Dr. Edmund Locard przytacza podobną współpracę matki i syna — w innym wypadku matki, ciotki, syna i córki — jeszcze w innym dwuch sióstr — liczne są też wypadki współpracy męża i żony, najliczniejsze — pary kochanków. Manja ta jest pozatem zaraźliwa. Wystarczy, gdy jedna z pensjonarek uległa anonimografji, aby znalazła tuzin naśladowczyń. Wogóle chęć naśladowania jest wrodzona duszy ludzkiej. Każda też sprawa listów anonimowych rodzi dziesiątki spraw podobnych, podobnie, jak głośna sprawa w Tulle.

Na schyłku 1917-go roku, kilku mieszkańców tego miasta, urzędników, zaczęło otrzymywać prawie codziennie listy anonimowe, pełne obelżywych oskarżeń i aluzyj pod adresem najbliższych członków rodziny. Jeden z adresatów dowiadywał się, że jego pradziad popełniał nadużycia — drugiego informowano, że jego babka miała dziecko nieślubne — trzeciemu wytykano, że jakiś jego kuzyn zmarł pięćdziesiąt lat temu na osiedleniu. Nieznany „kronikarz" miasta Tulle omawiał z początku w swych listach sprawy dawno przebrzmiałe — z czasem jednak uwspółcześnił się i począł zasypywać coraz to nowe ofiary wiadomościami świeższej daty. Żony, których mężowie walczyli na froncie, dowiadywały się o złamaniu przez nich przysięgi wierności, mężowie, że ich dzieci łączy z nimi tylko nazwisko.

Początkowo listy te nadchodziły przez pocztę — po pewnym jednak czasie, anonimograf, obawiając się widocznie, że skrzynki do listów mogą być śledzone, zaczął podrzucać swe wypracowania pod drzwi swych ofiar, lub nawet wprost na ulicy. Zdarzało się, że jakiś „dowcipny" przechodzeń, znalazłszy podobną epistołę, przykleił ją na murze lub na słupie ogłoszeniowym, przed którym defilowało później całe miasto... Skandal przybierał coraz szerszersze rozmiary i władze stawały na głowie, aby trafić na ślad nieubłaganego oszczercy, tembardziej, że początkowa farsa zaczynała przybierać obrót dramatyczny.

Dwuch urzędników prefektury, którzy otrzymali listy anonimowe, umieszczono w szpitalu warjatów. Jeden z nich zmarł w ataku furji... Podejrzenia, skierowane przeciw naczelnikowi wydziału, Moury i jego młodej żonie, okazały się bezpodstawne, naprowadziły jednak na ślad panny Laval, daktylografki, która miała kiedyś nadzieję stanąć z nim na ślubnym kobiercu. Zemsta zranionego serca — oto, co było przyczyną tego głośnego melodramatu!

Panna Laval „współpracowała" ze swą matką. W przededniu rozprawy rzuciły się do stawu. Córkę wyratowano i skazano na... 2 miesiące więzienia z zawieszeniem kary.

Pejot.

Pończoszki czy skarpetki?

Że skarpetki są w lecie higieniczniejsze od pończoszek — o tem wiedzą chyba wszyscy, czego niezbitym dowodem jest, datujący się od niepamiętnych czasów, zwyczaj ubierania nóżek dziecięcych w skarpetki. Kiedy jednak chodzi o dorosłych, powstają zastrzeżenia natury przeróżnej. Higjena higjeną, a estetyka estetyką. Może sobie być higjenicznie, ale czy zawsze będzie ładnie? A tu jeszcze moralność, ta nieznośna moralność, tak bardzo podobna do dokuczliwej starej panny, która przez wszystkich zapomniana, wciąż usiłuje ściągnąć na siebie uwagę nieustannym, zgorszonym wrzaskiem: — Do czego to podobne?!... Gołe nogi... W biały dzień!... Rozumiem jeszcze szyja, rozumiem od biedy ramiona... Ale nogi! Nogi!... Fidonc! Shocking! Nie wypada!

Takie to protesty budzi higjeniczna moda letnich skarpetek idąca zwycięsko przez świat. A że życie jest świetnym reżyserem, obdarzonym niezawodnie poczuciem efektu, więc higjeniczna moda znalazła gorliwą rzeczniczkę i pjonierkę w Helenie Willss, światowej mistrzyni tennisa. Helena Wills — doskonałe wcielenie idealnego typu współczesnej dziewczyny, uosobienie zdrowia i radości życia, Wills — co w dwudziestym drugim roku życia doczekała się pomnika w swej umiejącej cenić piękno wyczynu sportowego ojczyźnie, harda, młoda amerykanka przemierzająca niedbale tennisowe korty obu półkul pewnemi krokami swych smukłych, bronzowych nóg, odzianych w płócienne białe skarpetki. Opowiedziała się zdecydowanie po stronie skarpetek!

Bo nie wymagają podwiązek, krępujących obieg krwi, bo są lżejsze od najcieńszych pończoszek... Względy przyzwoitości!... Nie było o nich mowy. Chyba nie znalazł się jeszcze reporter dość bezczelny, by wszcząć rozmowę na podobny temat z tą dziewicą o czystem niewinnem czole i skośnem spojrzeniu.

Helena Wills w skarpetkach pobiła ostatnio po raz nie wiem który, wszystkie swe współzawodniczki w Niemczech i we Francji i właśnie wybiera się na nowe podboje do Anglji, na słynny tydzień tennisowy w Wimbledon. W tem oto zastępuje jej drogę purytański can't angielski, skondensowany preparat wrzaskliwego staropanieństwa: — Hola, moja panno! Tylko bez zbytecznego obnażania się! Chcesz grać grzecznie, w pończoszkach jak i inne, przyzwoite młode ladies. to prosimy bardzo. A nie, to nie — tak orzekły przepisy angielskiego sportowego savoir vivre'u, jeżeli nie zostały wyrażone dokładnie temi słowy, to niewątpliwie w tym duchu. Nie wiadomo komu przypadnie zwycięztwo na angielskim terenie. Ale niezależnie od tego czy młoda championka zgodzi się dla świętego spokoju i gwoli nie drażnienia bestji przywdziać na ów tydzień przepisowe pończochy, czy opuści w oburzeniu niegościnną wyspę, otrząsając z wstrętem jej pył ze swych gumowych podeszew — zwycięstwo Anglji, czyli angielskich starych ciotek będzie zwycięstwem Pyrrusowem, zwali się na nie bowiem najstraszniejsze brzemię, brzemię śmieszności. Zwycięstwo skarpetek w sporcie zostało przesądzone, w sporcie higjena i wygoda to czynniki decydujące. A w modzie dnia codziennego? To zależy. Ładne, ładnie opalone nogi mogą ślicznie wyglądać w skarpetkach przy garsonce genre sport. Ale tylko w godzinach przedpołudniowych i to raczej na letnisku, na plaży, może niekoniecznie w mieście. Nogi odmrożone, o rozszerzonych żyłach lub obfitem owłosieniu, należy koniecznie starannie ukrywać pod pończochą. Brzydota jest rzeczą, której człowiek kulturalny się wstydzi.

Przy sukniach strojnych, fantazyjnych — skarpetki byłyby rażącym dysonansem. Do popołudniowych i wieczorowych kreacyj grands faiseur'ów mamy cały arsenał zabójczo-zalotnych cud — pończoszek. Więc: pończoszki popielate z czarnym trójkącikiem na napiętku (de ensemble i spacerowych) pończoszki cieniowane do toalet en dégradé, pończoszki inkrustowane koronką do kreacyj koronkowo żorżetowych no i wreszcie do grandes toilettes od wielkiego dzwonu — pończoszki tak zwane „weneckie" ze złotej siatki noszone na spodnią pończoszkę z pajęczego jedwabiu. Rozmaitość jak widzimy ogromna. I czegóż można więcej pragnąć, o piękne panie! Chyba trochę dużo pieniędzy na zrealizowanie zakupów...

Well.



Mikroskopijna stópka Glorji Swanson, długości 7 i pół cala (Phot. Paramount)

ZA NAJLEPSZY TYTUŁ 1000 ZŁ. NAGRODY

Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strump-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Nić romansu nawiązana. Wtem, niespodziewanie oświadcza się o Halę stary p. Woyno. Tego samego dnia — nowa „bomba" wybucha. Oto kuzynek Staś, złapawszy Zaliwskiego, na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochają ją... Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat..., w półświatek. Po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna flirt z nowym, młodym człowiekiem, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować. Zaliwski unosi część pożyczonych pieniędzy. Znów powtarzają się dziwne konkury do Hali, w których jednak mowy niema o... miłości. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś, do koleżanki Zosiki, gdzie pierwszego już wieczora spotyka Reńskiego. Po kilku dniach pobytu, otrzymuje list z domu, pod wpływem którego postanawia wrócić na jeden dzień do Warszawy. Reński ofiarowuje jej swój samochód, w którym oboje wyruszają w podróż. W Warszawie rodzice robią Hali wymówki z powodu flirtu z Zaliwskim, a papcio dowiedziawszy się o konkurach Reńskiego oświadcza, że nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. Hala postanawia uciec z Czerniczek do domu. Niezatelegrafowawszy po konie Hala zwraca się do znajomego technika z pobliskiej gorzelni o pomoc. Ten korzystając z wieczoru i padającego deszczu zamyka Halę na klucz w swoim pokoju i postanawia ją zdobyć. Hali udaje się wydostać z tarapatów. Ucieka pieszo do Czerniczek, gdzie po tych przejściach choruje. Zwierza się Zosice, która ją ostrzega przed Reńskim. Otrzymuje telegram wzywający ją do Warszawy. Na dworcu dowiaduje się, że Zaliwski został aresztowany i że musi go ratować. Natychmiast udaje się do urzędu śledczego, gdzie spotyka się z Zaliwskim. Ten daje jej cały szereg poleceń do regulowania spraw finansowych, które natychmiast załatwia. Spotyka się z Reńskim, z którym jedzie na obiad do Konstancina. Ulegając namowom Reńskiego jedzie z nim do Molińskiej na dancing. Na drugi dzień spotyka się z Zaliwskim wypuszczonym w międzyczasie z więzienia. Zaliwski prosi o rękę Hali i zostaje przyjęty. Zaczyna się dla Hali okres narzeczeństwa.

(22)

XV.

— Nie mogę być twoją narzeczoną — powiedziała Hala Zaliwskiemu zaraz następnego dnia po powrocie z wycieczki do Niechcic.

— Jakto Halu? dlaczego?

Hala była skupiona i poważna, jak przystało kobiecie dojrzałej, kochanej i kochającej.

— Bo — Arturze — ja — moje serce nie należy już do mnie —

Niektóre bohaterki Rodziewiczówny wyrażały się podobnie, coprawda w mniej jaskrawych okolicznościach. Ala Hala była dumna, jak prawdziwa bohaterka romansu. Po staremu czuła się lepszą i wyższą od Aliny, Zośki i innych panien, którym przydarzyła się „miłość prawdziwa", choć często przedwczesna: jak dawniej nie tolerowała lekkomyślności, słabej woli, zmysłowości i ostro sądziła współczesny świat panieński. Natomiast własne przejście wydawało jej się zupełnie inne i wyjątkowe: była to miłość w wielkim w tem wyroki wyższe. Na drodze Hali stanęło przeznaczenie w postaci „prawdziwego mężczyzny" — a z przeznaczeniem doprawdy walczyć trudno. Zośka wyczytała gdzieś i lubiła powtarzać: „przeznaczenie swoje ma każdy zawieszone u szyi". Pewne trudności, które istnieją będą napewno zwalczone przez Alę — Hala była tego niezachwianie pewna. Skoro Ala t a k ją kocha, że aż doszło do t a k i e j sceny — to niewątpliwie miłość t a k wielka pobudzić go musi do energicznego i szybkiego działania — aby już nazawsze mogli się połączyć... Hala dostawała wypieków przy myślach o tem co było — i co będzie

Napozór jednak była spokojna i opanowana, jakby nic nie chciała uronić z tej świętości i tych tajemnych skarbów, które odnalazła i wyczuła w sobie wraz z pierwszą świadomością, że stała się nosicielką szczęścia i miłości. Oddawna wiedziała, że jest celem dążeń i pożądań — ale teraz — gdy już pozwoliła się trafić strzale prawdziwie męskiej wielkiej miłości — poczęła poprostu kochać siebie — za radosne cierpienie własne — za rozkosz, daną ukochanemu — za całą historję obrony i zdobycia, która w wyobraźni stawała się podobna do nieskończonego różańca ekstaz niemal wyłącznie duchowych. Ziarno nowej roskoszy fizycznej ginęło w nadmiarze uczuć dumnych i wzniosłych. Hala była pełna tęsknoty idealnej do oddania całej duszy temu, który poprzestał na razie na czemś nieskończenie mniej ważnem. — Ach — jakież to w gruncie rzeczy jest... ...głupstwo — myślała Hala o treści wypadków w Czerniczkach — wstyd tylko — ale — ale dziwię się, po co to jest kobietom potrzebne i dlaczego tak pragną tego. — Przecież ja — gdybym nie kochała i nie czuła się szczęśliwą, że mogę dać dowód tej miłości — tobym za nic w świecie nie pozwoliła — czulabym nawet wstręt —

— I — — swoią drogą — jakie to dziwne jest wszystko! Pomyśleć tylko — że mężczyzna i kobieta są poto różnie urządzeni, żeby właśnie było możliwe to.

Zagadka płci, dręcząca Halę od dawna, była już najzupełniej i najwyraźniej rozwiązana. Kto wymyślił tego rodzaju figiel? — no bo przecież zakrawa to na zwyczajny złośliwy figiel. Pierwsze strony Starego Testamentu, gdzie jest mowa o Adamie i Ewie, którą zrobiono z adamowego żebra — i o wężu i jabłku i początkach grzechu — wydały się teraz Hali nietylko niedostatecznem wytłomaczeniem, ale poprostu bezradną dziecinną próbą umysłów prymitywnych — wybrnięcie z dręczących zagadek bytu. Bóg nie wierzył nie decydować w sprawie człowieka — a jeśli coś zdecydował, to miał w tem swoje boskie cele. Świadomość — że celów tych nie pojmie nigdy, ale że jednak cele tego wszystkiego są wskazane przez siły wyższe, pozwoliła Hali na zupełne pogrążenie się w pełnem słodyczy i poświęcenia oddaniu, którego żądał od niej w dniach następnych Reński.

— Widocznie na to zostałam stworzona — myślała Hala — trudno.

Zaliwski znikł z oczu Hali w tych czasach zupełnie tak, jakby został zasłonięty obłokiem. Minęły tygodnie, w ciągu których dział się tylko Reński — i nigdy potem Hala nie zdołała przypomnieć sobie — czy działo się coś — pozanim i pozatem. Mówiono jej, że miała okres nadzwyczajnego rozkwitu i uduchowienia — okres, w którym zachwycała wszystkich znajomych i domowników roztargnionym entuzjazmem twarzyczki, na której odbijało się całe niebo zachwyceń. Jedna Stefcia nie miała zaufania do nowej, zmienionej Hali — i przerobiwszy stryjowski komplement — że „Hala wygląda teraz na kapłankę piękna i szczęścia" — nazywała Halę poprostu i po dziecinnemu niegrzecznie „kapłonką" — aż dostała za uszy i musiała uspokoić się.

Przyszła jednak szybko chwila, w której i Hala spojrzała przytomniej na okres miniony. Stało się to w dniu, w którym nadszedł wielki kosz pąsowych, aż cieplych — zdawałoby się — od tego gorącego koloru — róż. Hala — nie zupełnie rozumiejąc — odczytywała kilka razy list, który Reński napisał — poraz pierwszy — poważnie — i po raz pierwszy — nietylko o swej miłości — zupełnie tak, jakby wymowa kwiatów nie była dostatecznie jasna.

Z początku słowa i litery skakały w oczach, nie chciały łączyć się w zdania i myśli i były podobne naprzemian do róż i do ostrych cierni. Hala nie była w stanie rozdzielić misternie splecionej wiązki słów i myśli, które przysyłał najukochańszy, a patrząc przez swój różowy obłok na list, róże i ciernie — była szczęśliwa bez podejrzeń, bez myśli — bezrozumnie.

— Ach — jakie cudne róże —

Ostatnie chwile beztroski minęły jednak znów i Hala, wciąż jeszcze siedząc z listem na kolanach przy pachnącym stoliku, nagle uświadomiła sobie wielkie niebezpieczeństwo, które znalazło się tuż przy niej — a którego się jeszcze nie zna, lub nie może dostrzec.

Wtedy wzięła znów list i czytała go od początku; czytała godzinę, lub może dwie, powoli docierając do gorzkiego i trującego jądra, zawartego w wytwornej, złoconej frazesem skorupce. Jedno z ostatnich zdań najszybciej pozwoliło Hali zrozumieć i przerazić się i szukać dalszych wyjaśnień. Zdanie to brzmiało: „Halineczko najdroższa, te róże są pożegnalne". Przedtem Reński pisał: „Miłość nasza zaczęła być niebezpieczna, bo zagrażała innym ludziom".

— Ach — Boże! Boże! — pomyślała Hala i w rozszerzonych jej oczach zjawiły się jednocześnie: obłędny ból — i tak bezbronne przerażenie, że napewne rozbroiłoby pana Alę, gdyby mógł patrzeć w tej chwili na Halę. Pan Ala był jednak daleko i właśnie o tem pisał.

Cały list był następujący:

— Najukochańsza, mała Halineczko, gdy Halineczka dostanie ten list, będę już bardzo daleko. Wyjeżdżam na długo i czynię to naumyślnie, choć naprawdę nic nigdy nie przyszło mi z takim trudem, jak zorganizowanie i wykonanie tej ucieczki, przed swojem największem i najcudniejszem szczęściem. Miłość nasza zaczęła być niebezpieczna, bo zagraża innym ludziom. Nie możemy być egoistami, budującymi swe szczęście na tragedji innych serc. W ostatnich czasach przeżyłem dramat — moja żona otruła się i ledwie ją uratowano — jadę do niej. Artur Z. również chodził w ostatnich tygodniach jak błędny i zagroził mi wyraźnie desperackimi krokami. Widzi więc Halineczka, że nie należąc do siebie samych, musimy każde iść drogą obowiązku, zachowawszy w pamięci na całe życie ten krótki okres niesłychanego szczęścia, któryśmy zdążyli przeżyć. Teraz nic więcej nie chcę od życia — byłem szczęśliwy — bądź zdrowa, Halineczko najdroższa — te róże są pożegnalne. Niech Halineczka myśli o mnie i przetrwa dzielnie, jak i ja, straszliwy czas żegnania szczęścia. Twój na wieki — ale daleki — Ala R."

— Na wieki — daleki — nie — nie — ja nie zemdleję — ja nie chcę tego — mówiła zrozpaczona Hala, chodząc szybko po pokoju.

Wszystko się załamywało, leciało w bezdenną przepaść, ginęło bezpowrotnie. I nikt nie był temu winien — nikogo nie można oskarżyć — chyba tylko złe, przewrotne losy. Uczciwie myśląc o liście pana Ali, niepodobna było nie przyznać, że jest pełen szlachetnych i wzniosłych intencji. List pełny także bólu — i to staje się niejako pociechą, gdyż Hala nie cierpi sama. Prawdziwy mężczyzna, wbrew woli i uczuciom odchodzący od niej, być może, a nawet napewno, jest złamany tak samo — jak i Hala. Nie można pozwolić sobie w tej chwili na niskie, niegodne wielkiej miłości podejrzenie: na zarzuty, pozbawione szacunku dla siebie samej: na żale i pretensje, które mogą zniszczyć lub sprofanować wspomnienia najpiękniejsze i najsłodsze. Po raz pierwszy w życiu Hali zjawiła się nowa wartość — wartość własnych, nikomu nieznanych, a ważniejszych od wszystkiego — wspomnień.

Jakoś mijały dnie i tygodnie, niezauważone i jednakowe. W czasie tym niepokój Hali zmalał, miłość zaś trwała, karmiona mnóstwem pamiętnych i coraz lepiej pojmowanych szczegółów. —

Właściwie przeżywam prawdziwy, wielki dramat— myślała Hala— dramat jak w teatrze, lub na filmie. Właściwie powinnam się czuć strasznie nieszczęśliwa, schudnąć, a może i umrzeć na suchoty. — Jednak w rzeczywistości ani suchoty, ani śmierć nie przychodziły, przeciwnie Hala znacznie poprawiła się i — jak mówił stryj — rozkwitła. Po pierwszem ogłuszającem wrażeniu, że staje się coś niemożliwego, a jednak nieodzownego, pozostało niejasne przeczucie klęsk i nieszczęść, które przyjdą kiedyś później, ale jeszcze nieprędko. Teraz zaś tęskniło się do pana Ali tak, jak się tęskni do odebranej, ulubionej zabawki — a optymizm i ślepa wiara w szczęście kazały oczekiwać zdarzeń takich, które połączą rozdzielonych... kochanków. Hala jednak nie lubiła myśleć o sobie, jako o kochance i uważała, że jest właściwie żoną Reńskiego — i że cała trudność polega na tem, aby „umieć przetrwać trudny okres": tak mawiał i Zaliwski wówczas, gdy chwiały się jego interesa.

Sześć spotkań z Reńskim stworzyło historję tak obfitą w szczęście i piękno, że możnaby rozpamiętywać je całemi latami. W każdem z tych spotkań tkwił coprawda moment mocnego zamknięcia powiek i pozwalania na wszystko, czego zapragnął pan Ala, moment rozpoczynany wielkim wstydem, a kończący się szybkiem narzuceniem sukienki i pośpiesznem poprawieniem włosów — ale były to tylko momenty. Hala czuła wielką wdzięczność dla Reńskiego za to właśnie, że stawał się „taki dziwny" mimochodem, jakby przelotnie, że chwilki miłe, ale niezupełnie przez Halę aprobowane, nie były główną treścią spotkań, lecz ginęły wśród całych godzin czarującego i wytwornego duetu. Pod wrażeniem całości — bardzo bez zarzutu i bardzo correcte — prawie zupełnie nie pamiętało się o szczegółach. I Hala coraz bardziej lekceważyła zakorzenione pojęcie grzechu, związanego z roskoszą niedozwoloną — bo jakże małą i bądź co bądź śmieszną wydawała się ta roskosz w porównaniu z wielkiem niepojętem szczęściem kochania pana Ali wogóle, kochania go — nie za pewne krótkie chwile i nie podczas trwania tych chwil — lecz za to, że wogóle istnieje — i kochania wiecznego. W tem przejasnem świetle wielkich Halinych uczuć nie dość jasne były słowa Reńskiego, jakby podyktowane pobłażliwą pretensją, słowa o niedostatecznem „rozbudzeniu" Hali. — Czegóż mój najdroższy chciałby jeszcze — myślała całemi godzinami Hala, otwierając szeroko oczy dla zaświadczenia, że jest rozbudzona — skoro tak już zupełnie, zupełnie go kocham, że tylko dla niego żyję, dla niego wkładam najładniejsze sukienki, o nim myślę i za niego się modlę gorąco — i nawet taka jestem zupełnie bezbronna i bezwładna wtedy, kiedy chciałoby się właściwie schować w mysią dziurę.

Prawdziwe oblicze pana Ali pozostawało jednak wciąż niepoznane i tajemnicze, to też Hala musiała sobie powiedzieć, że kochać go będzie zawsze, jakimkolwiek się on stanie. Jeśli teraz Reński wyjechał i opuścił Halę, to i widocznie tak należało postąpić. Jeśli napisał drugi list, w którym raz jeszcze nieodwołalnie i zapewniając o swym bólu żegnał „Halineczkę", to można się było najwyżej uśmiechnąć do swojej radosnej, absolutnej pewności, że przecież pan Ala niepotrzebnie cierpi, bo Opatrzność nie może pozwolić na to, żeby rozdzielili się ci, którzy oddawna byli przeznaczeni dla siebie. Pan Ala mógł o tem nie wiedzieć i nie wierzyć w to, ale Hala wierzyła święcie i niezłomnie — bo zresztą nie mogła wierzyć inaczej. „Wszystkie Liwskie kochają raz i na całe życie"— tak mówił papcio. Więc Hala, kochając pana Alę miłością wieczną, musiałaby być przez całe swe życie nieszczęśliwą po tem, co już zaszło. A czyż można uwierzyć w swoje nieszczęście? — Czy to możliwe? Nie, ja będę bardzo, szalenie szczęśliwa, czuję to z całą pewnością — taki był bieg myśli, który ostatecznie pomagał Hali w rozwiewaniu wszelkich niepokojów. Radosny był pewnik, że się będzie szczęśliwą — a jeśli tak — to przy czyimże boku — jak nie Reńskiego, do którego należy już ciało i dusza — cała dusza. — A zatem wszystko było w porządku, a w oczekiwaniu na dalsze wypadki nie pozostawało nic innego, jak wyszywać poduszki (pani Liwska była tem zachwycona), pomagać Stefci w lekcjach (Stefcia dostała dwójkę z geografji za odpowiedź, że szwajcarzy mówią językiem szwajcarskim) i grać całemi wieczorami romanse, które kochał papcio (przypominało mu to sekretne bibki podczas kijowskich „kontraktów").

Prócz tego Hala szukała znów posady i pomógł jej w tem pan Woyno, bywający u Liwskich regularnie co sobotę. Posada była wkrótce do objęcia. Hala pyszniła się nią już z góry, a to głównie dlatego, że nie będzie pisać na maszynie, co wydawało się jej najniższą funkcją biurową, lecz p r o w a d z i ć główną księgę korespondencji w wielkim banku.

— Ho — ho — zobaczy pan, że zaawansuję na referenta — buńczucznie i dumnie zapawiadała. Rozczulony i ubawiony pan Woyno zaprosił przyszłego referenta wraz z całą rodziną na wyścigi. Zawiódł się jednak bardzo, jeśli miał nadzieję cieszenia się widokiem rozbawionej i podnieconej grą Hali, gdyż już przy trzecim biegu wyszła z loży i nie wracała. Pan Liwski poszedł szukać córkę i znalazł ją w towarzystwie Czarnej Aliny. Obie panny stały przy barjerze i pogrążone były w rozmowie. *(D. c. n.).*

Samoloty komunikacyjne kursują dwa razy dziennie między: Warszawą i Poznaniem, Warszawą i Katowicami, Krakowem i Katowicami, codziennie między: Lwowem i Warszawą, Warszawą i Gdańskiem, Poznaniem i Bydgoszczą, Bydgoszczą i Gdańskiem, Katowicami i Wiedniem.

Piszczany - wyspa uzdrowienia



Muzeum szczudeł i kul pozostawionych w Piszczanach przez wyleczonych artretyków.

W nazwie „wyspa uzdrowienia" nie zawiera się żadna przesada, gdyż miejscowość Piszczany pod żadnym względem nie może być sprowadzona do szablonu. Już samo położenie ich jest bardzo romantycznie: otoczone ze wszystkich stron ramionami rzeki Waagi, leżą Piszczany w kotlinie olbrzymów górskich, tuż nad radjoaktywnemi źródłami, wyrzucającemi w niezliczonych ilościach siarkę i muł o temperaturze naturalnej 68° Celcjusza. Dzięki racjonalnemu systemowi ostudzania, temperatura ta obniżana jest, w miarę potrzeby, do 28 stopni.

Dobroczynne zabiegi naturalnych źródeł dają wręcz cudowne wyniki w leczeniu uporczywych cierpień reumatyzmu, artretyzmu, ischiasu i t. p. dolegliwości, a rezultaty terapji stosowanej na całym świecie eksportowanemi z Piszczan okładami błotnemi są wszystkim dobrze znane. To też do Piszczan ciągną chorzy z całego świata. Można śmiało powiedzieć, że w Piszczanach spotyka się Europę razem z Azją i Ameryką.

W istocie, gdy się przegląda listy kuracjuszów począwszy od 1847 roku, widzimy na niej nazwiska głów ukoronowanych, książąt kościoła, najsławniejszych artystów, możnych, wielkich i po przez ludzi średniego stanu, aż do klasy drobnomieszczańskiej. Nawet tych najbiedniejszych, których nie stać na podróż koleją, i, którzy per pedes apostolorum wędrować muszą do Piszczan, aby „wypędzić z kości uporczywe bóle", spotkać można częstokroć, jak całkiem au naturelle kąpie się w otwartych źródłach pod gołem niebem.

Zarząd zdrojowiska, świadomy swego celu, w ciągłej trosce o to, aby uprzystępnić każdemu dobroczynną kurację, nie poprzestał na budowie luksusowych hoteli i pensjonatów, w rodzaju „Thérmia — Palace — Hotel", a oddaje do dyspozycji kuracjuszów szereg tańszych pensjonatów, aż do zakładów o charakterze szpitalnym, — dla najbiedniejszych.

Przed kilku dniami bawił w Warszawie p. Michał Kandel, generalny przedstawiciel zdrojowiska Piszczany na Polskę i odbył szereg konferencyj z gronem lekarzy warszawskich, którym, celem spopularyzowania zalet uzdrowiska, ofiarował bezpłatne 10 pełnych zabiegów leczniczych (30 okładów mułowych, do użycia w tutejszych klinikach)

Jest w tem bezwątpienia duża zasługa generalnego sekretarza p. Zlamala, wypróbowanego przyjaciela, polaków.

Na szczególną uwagę zasługuje pensjonat D-ra Rosnera, w którym koncentrują się niemal wszyscy kuracjusze polacy, otoczeni serdeczną opieką i skąd wywożą nieocenione zdrowie, powiększając niejednokrotnie zbiory muzeum, pozostawianemi kulami i kijami.

Muzeum to — jedyne w swoim rodzaju na całym świecie — jest wzruszającym i wymownym dowodem uzdrowień i ulg, jakie tysiące kuracjuszów znalazło w pięknych Piszczanach, opuszczając je w pełni sił i znakomicie obchodząc się odtąd bez wszelkich sztucznych podpórek.

Smutna przeszłość była już daleko za niemi w postaci kul i kijów, pozostawionych jako „vota" w muzeum piszczańskiem...

(m. s.).



Ogólny widok Piszczan

Ława szkolna dla dorosłych

Odpowiedzi zamieścimy w następnym numerze.

HUMOR



Panie pedel, gdzie tu jest miejsce do garażowania?

SIÓDMA KLASA

Do kancelarji gimnazjum męskiego przychodzi jakaś skromnie ubrana starsza niewiasta.

— Bo to panie dyrektorze, do mojej starszej, niby Jadzi, zaczął przychodzić Karolek Morusiński, co tu do siódmej klasy chodzi. Myślę, że się oświadczy. Jabym tam nic nie miała naprzeciwko, ale, jak to matka, chciałabym się wprzód dowiedzieć, ile taki z siódmej klasy dostaje tutaj pensji?...

OBRAŻLIWY

— Jeżeli mój szef nie cofnie tego, co powiedział, wynoszę się z jego biura!

— A co ci powiedział?

— Że mi daje dymisję!

TROSKLIWY OJCIEC

85-o letni starzec chce się powtórnie ożenić, tłomacząc się, że czyni to dlatego, aby ktoś jego dzieciom matkę zastąpił.

— A w jakim wieku są pańskie dzieci?

— Chłopczyk ma pięćdziesiąty pierwszy, a córeczka pięćdziesiąt cztery...

JAŚ—DYPLOMATA

— Wiesz co, Zosiu? Bawmy się w Adama i Ewę. Ty mnie będziesz namawiała do zjedzenia jabłuszka, które dostałaś od mamy, a ja... a ja cię posłucham!

NASZE SŁUŻĄCE

Kucharka (godząca się do służby): — *Mam nadzieję, że będzie pani ze mnie zadowolona. Mam niespełna lat dwadzieścia, skończyłam kursy kucharskie i posiadam trzydzieści sześć doskonałych świadectw...*

NA LEKCJI HISTORJI

— W jakiej z wielu swych bitew poległ Władysław Warneńczyk?

— W ostatniej, proszę pana psora!

SZCZĘŚCIE

— Pieniądze nie dają szczęścia! Znam ludzi, którzy mają dziesięć albo nawet dwadzieścia miljonów, a nie są szczęśliwi. Inni znowu mają tylko pięć miljonów i są ze swego losu zadowoleni...

„MAŁŻEŃSTWO Z MIŁOŚCI"

Mąż: *Nareszcie stało się to, o czem marzyłem od dnia naszych zaręczyn! Majątek mój djabli wzięli, z twego posagu nic nie zostało i — jesteśmy małżeństwem z miłości!*

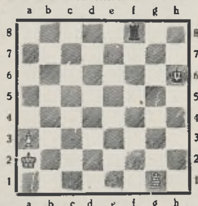
WYGADAŁA SIĘ

— Spotkałem wczoraj pani małżonka. Ukłoniłem się, ale mnie nie zauważył.

— Tak, opowiadał mi o tem...

Rozrywki umysłowe

A. Cheron



Czarne zaczynają. Białe wygrywają.

ARYTMOGRYF AKTUALNY

Ułożył Włodzimierz Auderski

Ułożyć 5 nazw miejscowości kuracyjnych, tak, aby rząd oznaczony dał 6-ą nazwę.

1, 2, 3, 4,	5.	3, 6. 7, 8, 9, 4,
10,	9,	5. 11, 12, 6, 13, 9,
	14,	15. 16, 17.
18, 5, 15, 16,	17,	9, 4, 1, 11. 6,
13, 9, 17, 3, 18,	9	2. 11,

BILETY WIZYTOWE

Ułożył Włodzimierz Auderski

BERTA BONZO

Ułożył J. Heyman

T. SAWAKÓW - ROKICKI

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób.

Ułożył Włodzimierz Auderski

ROMAN DOJERT

Z. E. RYL
artysta

CZERS
Padwa

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób.

NAGRODY

Wśród Czytelników, którzy rozwiążą trafnie arytmogryf i bilety wizytowe będzie rozlosowanych 5 książek beletrystycznych. Termin do dn. 10-go lipca.

ROZWIĄZANIE Z Nr. 19.

LOGOGRYF

Szatany
Tatarak
Antaba
Roztapiać
Ekstaza
Matador
Italja
Ataman
Szpitale
Tatarzy
Oktawa

ROZWIĄZANIE

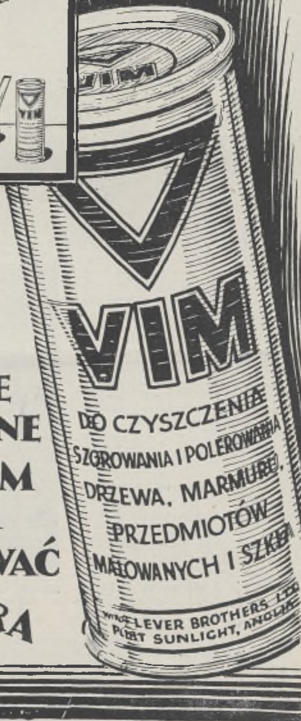
ZADANIA I.

Przejazd naszego pociągu z Poznania do Warszawy trwa 300:60=5 godz.

A. Jeżeli tor z Warszawy do Poznania w chwili wyjazdu tego pociągu był pusty, to spotka on (pociąg) 5 pociągów wypuszczanych z Warszawy co godzina oraz jeden pociąg, który ma odjechać w chwili przyjazdu naszego pociągu do Warszawy, razem 6 pociągów (1-e rozwiązanie).

B. Jeżeli pociągi kursowały w stronę Poznania już przedtem, to nasz pociąg spotka popierwsze pociąg z Warszawy nadchodzący na stację w chwili jego odejścia, następnie 4 pociągi będące już w drodze, dalej 5 pociągów świeżo wypuszczonych i wreszcie jeden pociąg przy wjeździe na stację w Warszawie — razem 11 pociągów (2-e rozwiązanie). (Inż. J. Modrz.).





Plotki... Plotki...

Oddawna już namawiam mego znakomitego i przemiłego kolegę siedmiodniowego, p. Winawera, do napisania wyczerpującej pracy naukowej na wiecznie aktualny i fascynujący temat: *„jak się robi z igły widły"*. Uparł się, czarną kawę popija, razem z Makuszyńskim łamie sobie głowę dokąd(i za co...) wyjechać na lato, a tematu tego nawet za siedem prawdziwych „expresso" poruszyć nie chce.



Ploteczki pary zakochanej (Richard Dix i J. Arthur z „Paramountu").



„Powiem panu, ale pod warunkiem, że pan nikomu tego nie powtórzy..." (Fot. „Paramount").



„Powierzono mi to wprawdzie w zaufaniu, ale gdy mi pan obieca... (Fot. „Paramount").

A szkoda — i niebylejaka! Bo czegóż nie dowiedzielibyśmy się wtedy o najnowszej technice plotkarskiej, o niebo całe przewyższającej technikę General Motors'ów, Marconich i Edisonów! Z wypiekami zaciekawienia na twarzy słuchalibyśmy rewelacyjnych wywodów przyrodniczych o tem przysłowionem słówku, które, wyleciawszy w nędznem ciałku kruka, powraca w okazałej postaci wołu!

Jakie szerokie perspektywy otworzyłoby to przed swojską hodowlą, jak zaważyłoby na naszym bilansie! Rok nie minąłby, a kraj nasz stałby się światowym dyktatorem rynku finansowego! Setki tysięcy samolotów sprowadzałyby kruki do Polski, a setki tysięcy pociągów wywoziłyby tęgie, dobrze upasione woły! Pół miljona bezrobotnych starych panien znalazłoby przytem lukratywne zajęcie — a każdy dziennikarz, nawet najmizerniejszy reporterzyna z Kaczego Dołu, jako wytrawny *„spec"* stanąłby na czele jednego z olbrzymich konsorcjów pod nazwą: *„Igłowidły, Krajowa wytwórnia wideł, S. A."* lub: *„Krukowół, polsko spółka hodowlana" i t. p.* A tu nic z tych pięknych marzeń, bo p. Winawer nie chce nam zdradzić tej doniosłej tajemnicy...



Mamusia oczernia przed swą córeczką kandydatów na mężów i zięciów... (Fot. Metro-Godwyn-Mayer).

Plotka!

Dzięki niej już na schyłku XVIII stulecia przewidział radjo Beaumarchais, opisując, jak to drobny i cichy szmerek urasta do rozmiarów głośnej burzy. Sławił ją Wolter, radząc: *„calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose..."* Kuzynka potwarzy i siostra listu anonimowego, plotka — czynnik życia rodzinnego, towarzyskiego, politycznego, a nawet i gospodarczego — zasługuje, by jej chociaż tę jedną stronę w „Siedmiu Dniach" poświęcić.

Może uwagi powyższe natchną jakiegoś domorosłego wynalazcę i staną się zczasem źródłem naszego bogactwa narodowego?...

P. Winawer przewiduje (p. str. 4), że w przyszłości karmić się będziemy odpowiednio spreparowanym papierem. Co do mnie, uważam, że „sztuka mięsa z wołokruka" byłaby znacznie smaczniejsza...

mi-mo.

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie

Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sladowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.

Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.